Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 11 grudnia 1938 r.* Nr. 50

JELEŃ



W oczach gasł ostatni lęk wystrzału,
lasem dzwonił, przepadał wśród drzew — —
Drobne świerki sierść głaskały rudą,
na mchu skrzepła z nóg brocząca krew...

Kiedy w strumień zmarszczony fal mrokiem —
spojrzał smutkiem w przedwieczorny czas —
ujrzał raz ostatni młodość swoją:
w kręgach srebrnych zatopiony las —

Zachód krwawił nieskończenie długo,
niebo stygło, opadało w mrok,
gdy usłyszał trzask gałęzi suchych;
przyczajonej śmierci leśnej... krok!..

Raz ostatni głowę wsparł o drzewa,
zmierzch opadał lepką watą mgły —
gwiazdy gasły w ściemniałych źrenicach —
las odpływał w nieskończoność dni — —

A gdy księżyc, nakłuty szpilkami
mrocznych sosen, gasł w wykrotach drzew,
puszczykowym, żałosnym wołaniem,
w las opadał rozszumiony śpiew... — —

Józef Baranowski.

ADAM CZEKALSKI

12)

Hollywood

POWIEŚĆ

— Owszem, zjadłbym coś, ale sądzę, że każe mi pan podać coś takiego, w czym nie będzie „ciał obcych" w rodzaju trucizny lub czegoś podobnego.

— Ach, jakże może nas pan o coś podobnego posądzać!

Hemlock zadzwonił i niebawem zjawił się służący.

— Przyniesiesz tutaj obiad i butelkę kalifornijskiego wina — rozkazał, a gdy służący wyszedł, rozsiadł się w jednym z foteli klubowych i zagadnął znowu: — Niech pan usiądzie, sir, pogawędzimy, zanim obiad znajdzie się na stole. Zapewne nudził się pan setnie w tej samotności?

Roger usiadł z zamiarem pociągnięcia może za język tego bandyty. Teraz już bowiem wiedział dobrze, że ten dobroduszny tłuścioch nie jest bynajmniej tak dobrodusznym, jak o tym świadczy jego gęba, ale przeciwnie — miał prawie już pewność, że ma do czynienia z bandą gangsterską, która porwała go dla jakichś sobie tylko wiadomych celów.

— Słuchaj pan, mister Avare — odezwał się Roger — jaki jest cel mojego porwania? Czy chodzi wam o okup?

— Dowie się pan w swoim czasie. Ale gdybyś pan nie był stawiał oporu w Nowym Jorku, nie bylibyśmy zmuszeni stosować do pana przymusu. Cóż to szkodziło podpisać papierek, jaki przedłożyłem mu imieniem mojej mocodawczyni, miss de Rieth? Przecież to taka drobnostka! Rozwody w tym kraju, a zwłaszcza w świecie filmu, to rzecz tak powszednia, jak konieczność codziennego snu. I nikt się tym bynajmniej nie przejmuje.

— Pan kłamie! Moja żona nigdy nie zażądałaby w ten sposób mojej zgody na rozwód. To jest niecny podstęp.



Urocze nakrycie głowy, wzorowane na francuskich motywach ludowych. Scena z filmu „Biały śnieg"

— Niech pan sobie myśli co chce o tej sprawie, ale jedno pragnę tylko wyjaśnić, abyś się pan na przyszłość nie łudził: oto żadnej pomocy proszę się nie spodziewać z żadnej strony. Do czasu tylko będziemy stosowali do niego formy dżentelmeńskie, ale gdy się miarka przebierze, potrafimy działać radykalnie i twardo.

— Bardzo proszę. Nie mogę się przecież niczego dobrego po was spodziewać. Jeśli jednak liczycie na moją uległość, to popełniacie mały błąd: nawet tortury nie zmuszą mnie do uczynienia tego, co byłoby wbrew mojemu postanowieniu.

— Odmienisz się pan, mister Puroll, odmienisz się na pewno.

— Zobaczymy. Możecie się łudzić, bo to nic nie kosztuje.

— Nie, to pan już w tej chwili łudzi się, że pozwolimy ci zaszachować nas i rozbić nasze zamiary. Nie, to się nigdy nie stanie. Jeśli o mnie chodzi, a w tej sprawie mam ja tu dość duży głos, nie zwykłem pozwalać wydrzeć sobie łup z rąk.

— Skoro jestem dla pana łupem, proszę mi zatem powiedzieć, w jakim celu zostałem porwany? Czy chodzi o okup?

— Powiedziałem: dowie się pan o tym w swoim czasie. A tymczasem... właśnie obiad nadchodzi — odmienił temat Hemlock, spostrzegając wchodzącego z tacą w rękach służącego. — Proszę się posilić i zachować cierpliwość. Wszystko przyjdzie w swojej porze.

Grubas podniósł się leniwie, i skinąwszy Rogerowi ręką na pożegnanie, oddalił się.

Zamknięty od wielu dni w tajemniczym schowku, Puroll nic nie mógł wiedzieć, co działo się poza ścianami jego więzienia, a działy się rzeczy doniosłe. Poszukiwania Teara i agentów fabryki samochodów na terenie Nowego Jorku nie dały prawie żadnego pozytywnego rezultatu. Jedno tylko ustalono ponad wszelką wątpliwość, że Puroll istotnie przybył na okręcie „Cornerstone" i wylądował w porcie. Znaleźli się świadkowie, którzy przypominali sobie takiego pasażera z Afryki, widzieli go nawet rozmawiającego z jakimiś mężczyznami, ale to było wszystko.

Kaja, po początkowym przygnębieniu i martwocie otrząsnęła się i postanowiła wziąć osobisty udział w poszukiwaniu Rogera. Z zebranych dotychczas poszlak jedno wynikało ponad wszelką wątpliwość, że Roger został porwany. Jaka była tego porwania przyczyna, nie wiedział nikt, ale z czasem, zestawiając z sobą rozmaite fakty i okoliczności, zaczęło się zwolna wyłaniać coraz jaśniejsze podejrzenie, że tu musiał wchodzić w grę O'Conor.

— Jestem prawie przekonana, że w tym wszystkim palce maczał mister Slim — powiedziała pewnego dnia Kaja w swoim mieszkaniu, w obecności Mady, doktora Decay'a i dwóch agentów śledczych.

I przytoczyła szereg okoliczności, aby poprzeć tę swoją tezę.

W trakcie tych rad wpadła do willi Kai panna Cecylia.

— Moja droga Kajo, co za nieszczęście! — zawołała malarka, obejmując serdecznym, siostrzanym uściskiem przyjaciółkę. — Ledwie co wpadłam do domu i dowiedziawszy się o twoim nieszczęściu, przyjechałam natychmiast do ciebie.

— Jestem ci ogromnie zobowiązana, droga moja — odrzekła Kaja. — Wiesz już zapewne wszystko. Biedny Roger... Czy chociaż żyje dotychczas?

— Miejmy nadzieję, że nie stało mu się nic złego. Ale powiedzcież mi, są jakie ślady?

— Siadaj przede wszystkim — poprosiła Kaja — a następnie wysłuchaj tego, co my sami już wiemy. Może dasz jaką zbawienną radę.

Malarka przywitała się pospiesznie z Mady i doktorem, skinęła głową detektywom i usiadła, aby wysłuchać opowiadania. Kiedy Kaja skończyła je, Cecylia powstała raptownie z jakimś mocnym postanowieniem.

— Mister Tom — zwróciła się do doktora — czy zechcesz przejechać się ze mną w pewne miejsce?

— Pani dobrze wie o tym, miss Cecylio, że niczego pani nie mogę odmówić — skłonił się z galanterią doktor. — Tym



Doroczne zebranie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego zaszczycili swą obecnością (od prawej): wiceminister Aleksandrowicz, biskup Szlagowski i rektor Uniwersytetu J. P. Antoniewicz

bardziej, że nie widzieliśmy się przecież taki szmat czasu.

— Zatem chodźmy. A wy tu wszyscy, moi drodzy, zaczekajcie na nasz powrót.

— Dokądże to wybieracie się, Cecylio? — spytała Kaja.

— Droga moja, miej trochę cierpliwości. Kto wie, czy z tej naszej przejażdżki nie wyniknie co dobrego dla ciebie i dla biednego pana Rogera.

— Kochana... Wiesz dobrze, że zawdzięczałabym ci wtedy życie.

Żywa i energiczna pani Cecylia porwała doktora i oboje zbiegli na podjazd, gdzie stał samochód malarki. Dopiero kiedy wsiedli i ruszyli z miejsca, Decay zapytał:

— Czy mogę się dowiedzieć, dokąd Sabinka porywa Rzymianina?

— Dobrze. Gdzie zatrzymuje się zwykle mister O'Conor w Nowym Jorku?

Lokaj wymienił adres jednego z najlepszych hoteli.

— Dziękuję panu i do widzenia.

Miss Cecylia wpuściła przed sobą do samochodu doktora Decaya i usiadłszy przy kierownicy, ruszyła w drogę powrotną. A po drodze wykładała doktorowi swoje myśli:

— Pojedziemy natychmiast, jeszcze dzisiaj, do Nowego Jorku. Dam głowę w zastaw, że szanowny O'Conor jest mocno w tej sprawie zaangażowany. I druga sprawa: Slima nie znajdziemy w Nowym Jorku.

— Pocóż zatem mamy tam jechać?

— Przede wszystkim dlatego, bo tam zastaniemy teraz Hoovera, komendanta „g-

— Zatem jedźmy.

Zwołana w czas jakiś później generalna rada w mieszkaniu Kai przyjęła w całości plan malarki. Postanowiono odlecieć jeszcze dzisiaj samolotem do Nowego Jorku.

— Nie zawadzi, droga moja, — doradziła miss Cecylia — jeżeli powiadomisz Tear'a, aby czekał na nas na lotnisku. Może nam się bardzo przydać na wstępie do osobistych naszych poszukiwań.

W dwie godziny później specjalnie wynajęty samolot odleciał z kilkoma pasażerami na drugą stronę Stanów Zjednoczonych.

W chwili zaś, gdy samolot lądował w Nowym Jorku, mister O'Conor radził w swoim pałacyku nad jeziorem Erie z Hemlock'iem w sprawie zamkniętego Purolla.

— Rozmawiałeś z nim? — pytał Slim.

— Pojedziemy do O'Conora. Jestem przekonana prawie, że to z jego racji porwany został mąż Kai.

— Ale w jakimże by celu?

— Aby wymusić na nim zgodę na rozwód, albo po prostu skręcić mu kark i uwolniwszy Kaję od małżeństwa, postawić na swoim i zdobyć ją.

— To nie do wiary. Slim nie ważyłby się na coś podobnego. To przecież grozi krzesłem elektrycznym.

— Prawda, ale Slim jest ryzykantem. Sam, przy pomocy swoich milionów, będzie mógł w razie wsypy nader łatwo umyć ręce i wykazać czarne na białym, że on nie ma z tym nic wspólnego. Ale moja intuicja powtarza mi, że jednak od niego należy zacząć poszukiwania.

Piękna willa milionera znajdowała się niezbyt daleko od willi Kai, toteż w kilka minut później samochód malarki zatrzymał się przed nią. Z wnętrza wybiegł lokaj, aby pomóc gościom w wysiadaniu, lecz miss Cecylia obeszła się teraz, jak obchodziła się zwykle, bez pomocy cudzej i sama wysiadła, a za nią wydostał się z wozu doktor.

— Czy mister O'Conor jest u siebie? — spytała malarka lokaja.

— Nie, lady, mister O'Conor wyjechał przed paru dniami do Nowego Jorku.

— Czy nie powiedział kiedy wróci?

— Nie milady, mister O'Conor nigdy tego nie oznajmia w podobnych sprawach. Wyjeżdża kiedy chce i wraca kiedy mu się podoba.

manów". Bez niego nie będziemy w możności dokonać niczego.

— Czy pani wie na pewno, że Hoover tam jest obecnie?

— Spotkałam się z nim przed kilku dniami i rozmawiałam nawet. Powiedział mi, że zabawi w Nowym Jorku do dwóch tygodni w jakiejś nader ważnej sprawie.

— Tak jest, sir.

— I jakiż rezultat?

— Żaden, gdyż nie chciałem nic podejmować przed przybyciem pana na miejsce.

— Czy mu może powiedział, gdzie się znajduje?

— Nie, po cóż miałem to mówić.



Sekretarz generalny Towarzystwa Naukowego Warszawskiego — Stefan Mazurkiewicz, odczytuje sprawozdanie

— To dobrze, pamiętaj Tom, że w tej sprawie nie śmie być wmieszane moje nazwisko i moja osoba w ogóle. Rozumiesz? W razie czego, uprzedzam cię, wyprę się wszystkiego, a wiesz dobrze, że potrafię siebie obronić, a ciebie zgubić.

— To będzie niepotrzebne, sir. Nie pierwszy raz Hemlock wywiązuje się z podobnego zadania... Ale — cóż pan każe z tym człowiekiem zrobić?

— Może dobrowolnie podpisze ten papier?

— To mi się wydaje niemożliwe. Rozmawiałem z nim i doszedłem do wniosku, że to jakaś bardzo twarda i oporna sztuka.

— Hm... Sam nie wiem, jakiego środka się chwycić. Nie chciałbym go jeszcze wyprawiać do wieczności. To będzie ostateczność.

— A może pieniądze by go skusiły?

— Tak, tak, może za pieniądze zgodzi się pójść mi na rękę. Słuchaj, Tom, idź zaraz do niego i pogadaj z nim na ten temat. Dam każdą sumę, jakiej zażąda.

Hemlock udał się natychmiast do Rogera. Zastał go na otomanie, przeglądającego pisma ilustrowane, których mu stale tutaj dostarczano.

— Dzień dobry, mister Puroll — powitał go zwykłym swoim frazesem Tom. I jakże się tu panu powodzi? Przypuszczam, że nie ma pan powodów do narzekania. Kuchnia dobra, wypoczynek królewski — nic prawie do szczęścia panu nie brakuje.

Roger nie raczył nawet odpowiedzieć. Wtedy Tom przysiadł się do niego i zagadnął z innej beczki.

— Przychodzę dzisiaj do pana w interesie...

Puroll podniósł wzrok na księżycowe oblicze gangstera.

— O cóż chodzi?

— Posłuchaj mnie pan: przychodzę postawić panu formalną propozycję. Jesteśmy skłonni zapłacić panu każdą sumę, jakiej zażądasz, za podpisanie tego świstka papieru, któryś już widział. Nadto dasz nam słowo honoru, że najbliższym statkiem wyjedziesz ze Stanów i nie będziesz składał skargi w policji. W przeciwnym razie...

— Cóż w przeciwnym razie?

— Będziemy musieli wyprawić pana do lepszego świata.

Puroll powstał z otomany w całej swojej wysokości.

— Słuchaj pan, mości bandyto — wyrzekł z naciskiem — jeżeli pozwolisz sobie na wypowiedzenie raz jeszcze podobnej propozycji, zaduszę cię jak psa. Pojmujesz to? Może handlowanie żonami jest waszym gangsterskim zwyczajem, ale ja tego nie znam i znać nie chcę.

— Jest pan niepoczytalnym maniakiem, który skazuje sam siebie na śmierć.

— Wolę śmierć, aniżeli zboczenie z drogi honoru i uczciwości.

— Tymi słowami wydajesz na siebie wyrok śmierci.

— I bądź pewien, że umrę z godnością i nie będę prosił o litość.

— A cóż się wtedy stanie z pańską żoną? — podchwycił chytrze Tom. — Czy i ją także pan skażesz ze spokojnym sumieniem na śmierć?

— Lepiej niech i ona umrze, aniżeli by miała mniemać, że ją przehandlowałem za czterdzieści srebrników.

— Oh, bardzo to wzniosłe słowa, tylko... tylko one nie zrealizują się na razie. Co do pańskiej żony mamy inne plany, zupełnie inne plany... Miss de Rieth jest zbyt piękna, aby ktokolwiek zadowolił się jej śmiercią. To byłoby głupie. Z kobiety martwej, choćby najpiękniejszej, nic nikomu nie przyjdzie. Dlatego zamierzamy zażyć w jej ramionach wszelkich rozkoszy, jakich dostarczyć powinna tak subtelna i piękna dama.

— Psie!

Puroll rzucił się z pięściami ku Tomowi, ale ten, jakby przygotowany na to, uskoczył w bok z zadziwiającą lekkością i lufa rewolweru błysnęła przed oczami Rogera.

— Powoli, powoli, sir... — zaśmiał się Tom. — Jeszcze krok, a wpakuję panu w łeb należytą porcję ołowiu, z którą ciężko było by żyć na świecie.

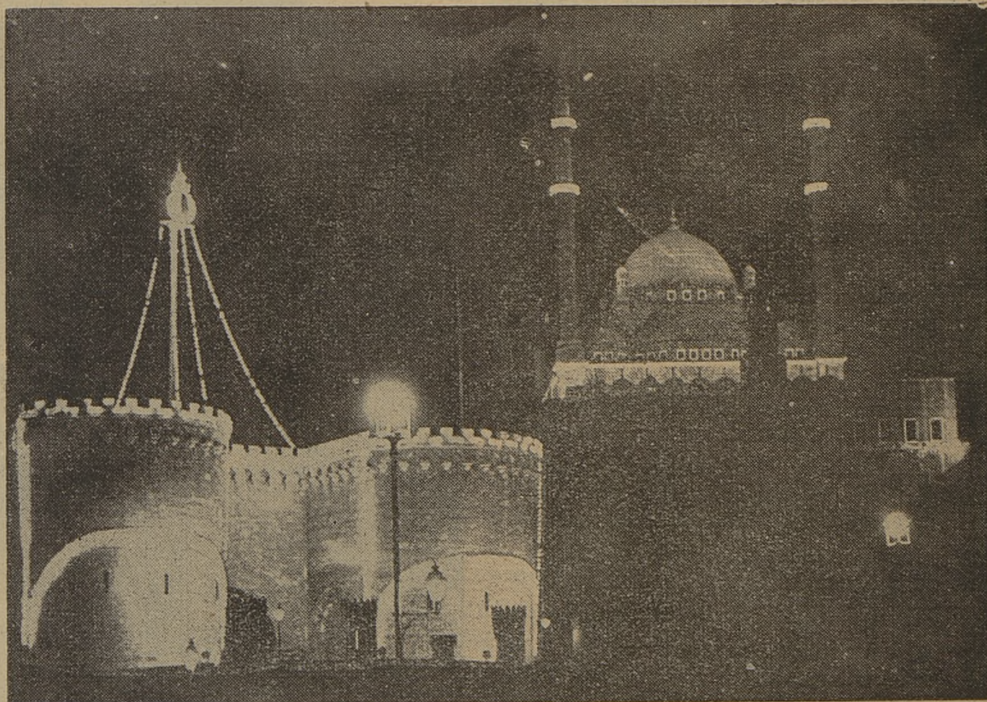
Roger pohamował się nieco. Wiedział przynajmniej z prasy o tym dobrze, że spełnienie morderstwa przychodzi gangsterom z zadziwiającą łatwością. Nie bał się o siebie, ale lękał się wprost żywiołowo tego, aby nie zostawić Kai samej, bezbronnej, na pastwę zbrodniczych ludzi.

— Wysłuchaj mnie, milordzie — zaczął znowu mówić z naciskiem. — Dajemy ci dwa dni czasu do namysłu. Po tym terminie albo wykonasz to, czego żądamy, albo też zapoznasz się z tak ciekawymi sprawami, że nie zapomnisz ich nigdy nawet po drugiej stronie życia. A zapewniam, że w „badaniu trzeciego stopnia" mamy niemniejszą wprawę, niż policemani z „oddziału zeznań dobrowolnych".

Roger nic nie odpowiedział. Stał na środku pokoju z groźnie zaciśniętymi dłońmi, a w duszy kłębiło się piekło żalu, roz-



Kolonia włoska w Berlinie pracuje intensywnie nad wychowaniem młodzieży. Na zdjęciu młode dziewczęta organizacji faszystowskiej we wspaniałej szkole Kolonii, której ściany pokryto napisami propagandowymi



Z okazji urodzin córki króla Egiptu, Kair tonął w powodzi światła bajkowej iluminacji

paczy i rozterki, z której daremnie szukał jakiegoś pomyślnego wyjścia.

Gdy nieco oprzytomniał, w izbie nie było już Toma. Padł więc ciężko, w bezsilnej wściekłości, na fotel i gryzł palce z bólu. Tymczasem Tom zdawał w apartamentach Slima sprawozdanie ze swej rozmowy z Rogerem.

— Odmówił stanowczo — mówił gangster — z pięściami jeszcze na mnie się rzucił. Zdaje mi się, milordzie, że tą drogą nic z nim nie wskóramy.

Slim chodził nerwowo po pokoju, nie odpowiadając na słowa agenta. I on także piekło miał w duszy. Pierwszy to raz bowiem zdarzało się, że jego zamysły brały w łeb. To irytowało go najwięcej. Cały misternie przez niego opracowany plan walił się w gruzy. Cóż z tego, że porwał tego człowieka? Myślał, że posiadając go w swoich rękach, dokona reszty bez trudu. Europejczycy tacy przecież łakomi są na amerykańskie dolary! A obok tego i świadomość, że pragnienie jego nie może się ziścić, że jego opętańcza miłość do tej kobiety pozostać ma na zawsze jednostronną i bezpłodną, napełniało mu serce bezbrzeżną goryczą. Slim naprawdę kochał Kaję bez pamięci. Był gotów oddać wszystkie swoje miliony za posiadanie jej jednej, a jednak — okazało się, że nawet za te miliony nie może jej zdobyć, nie może nazwać swoją. To bolało go najbardziej. Gdyby mu o tym opowiedział był ktoś jeszcze niedawno, byłby go z punktu wydrwił, tak bardzo niemożliwą wydawać by mu się musiała podobna sytuacja. A oto dzisiaj na własnej osobie doświadczał owej prawdy.

Slim aż zacisnął boleśnie dłonie i zajęczał głucho. Potem zatrzymał się naraz przed Tomem i rzekł:

— Tom, czy ty znasz profesora James'a Brown'a w Nowym Yorku?

— Ach, sir, naturalnie.

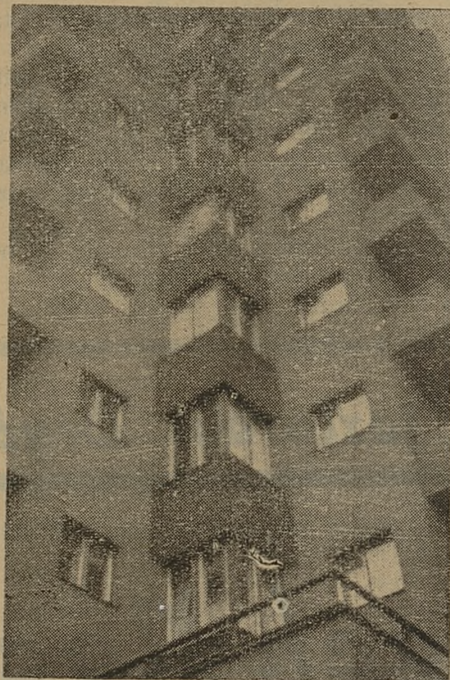
— Pojedziesz do niego w moim imieniu i przywieziesz go tutaj.

— Kiedy pan sobie życzy, sir, abym tam pojechał?

— Natychmiast. Weźmiesz mój samolot.

— All right, sir.

Profesor Brown był doskonale znany zarówno w świecie przestępczym, z którego ciągnął olbrzymie zyski od lat kilku, jak i u władz bezpieczeństwa. Zdolny medyk i zdolniejszy jeszcze wynalazca, posiadał on wiele tajemniczych środków, przy pomocy których dokonywał bardzo licznych i niezwykle ciekawych eksperymentów. Będąc przy tym człowiekiem bez skrupułów, dla którego jedynie pieniądz miał wartość, wiedzę swoją oddawał częściej na usługi gangsterów i wszelakich łotrzyków, niż prawu i sprawiedliwości. Działo się to może i dlatego również, że do czasu stworzenia specjalnej policji t. zw. „g-manów", przeznaczonej do radykalnej walki ze światem podziemnym, elementy zbrodnicze posiadały możność wykonania każdego własnego „wyroku" i na zdrajcach własnych mściły się bez apelacyjnie uśmiercaniem. Nie tajnym też było, że ów świat przestępczy brał samowolnie pod swoją opiekę np. wszystkich wybitniejszych bokserów, czuwał nad nimi, nie pozwalał ich oszukiwać i krzywdzić, ale też i za tę nieproszoną opiekę kazał sobie zawsze drogo płacić. Wyłamanie się spod tej opieki było prawie niemożliwe. Wcześnie też świat przestępczy wyczuł, jaką kolosalną pomocą mogą dla niego stać się owe liczne wynalazki Browna, toteż nie omieszkał on zaanektować na swój użytek specyfików wynalazcy. Było też zwyczajem, że we wszystkich sprawach trudnych i ciężkich udawano się do Browna, a ten zawsze potrafi znaleść w swoim bogatym arsenale odpowiedni lęk i odpowiednią radę.



Fot. R. Schwalbe

Szarość dnia nas dzieli

Miałeś bezcenne, spiżowe płyty na budulec,
Jak budowniczy chciałeś mię pod swój strop wprowadzić.
A dzisiaj masz smutne przeświadczenie, że budowla runie,
Że nie moc płyt, lecz fatalizm ma nad gmachem władzę.

Miałeś geniusz miłowania, moc twórczą, sławę i natchnienie,
Buntem zciosać pragnąłeś twardy życia granit —
A dziś — — słaby tytan, rozprzęgły znużeniem,
Własną, niemocną dłonią skarb strącasz do otchłani.

Czemuż ja ci mam dawać słowa życiodajne?
Czemuż gałąź rozsądku dzierżyć w mądrych rękach?
I nie szamotać się, nie szarpać, trwać w bezruchu jednostajnym —
Jak bym była z kamienia, —. I kamień też pękał...

Bezpłodnej walki własnych uczuć stargają cię męki —
W niespane noce sam ku sobie nienawiścią płoniesz.
Pełen rozpaczy patrzeć będziesz w świat nadziei maleńki —
Bać się będziesz początku, przerazi cię koniec.

Czuję swą chłodną dłoń u twych ust gorących...
I pocóż chcesz mię przepraszać za nie swe przewiny?
Cóż — szarość dnia nas dzieli, choć święto życia łączy —
Cóż można dokonać, gdy tylko marzymy?...

Nurzyłam się w dosycie, w twej dobrej, prawej duszy,
Skrzepłam na siłach w tej jędrnej kąpieli —
Więc odchodzę od ciebie — choć odejść nie muszę..
Święto życia nas łączy — szarość dnia nas dzieli.

Zofia Drwęska-Doeringowa

XVI.

NAJMNIEJ OCZEKIWANE ROZWIĄZANIE

Hoover istotnie znajdował się w Nowym Jorku, jak to mówiła miss Cecylia. Odnaleziono go łatwo, zgłosiwszy się do pierwszego komisarza policyjnego i oznajmiwszy, że w sprawie zaginionego mister Rogera Purolla pragną koniecznie zobaczyć się z Hooverem.

W godzinę później sławny detektyw konferował już z Kają, miss Cecylią i doktorem Decay'em. Hoover już zajmował się tą sprawą i zdobył cały szereg ciekawych wiadomości, ale niemniej chętnie wysłuchał tego, co mu oni mieli do powiedzenia. W trakcie opowiadania Kai, do pokoju wszedł Tear. Spóźnił się na przylot samolotu z Hoolywood, dlatego nie mógł powitać artystki na lotnisku, ale ta okoliczność przyniosła mu jednak cały splot nowych wiadomości.

— Jak pan wie, minister Hoover — wyjaśniał sekretarz — sprawą nieszczęśliwego pana Purolla ja zajmuję się już tutaj na miejscu od chwili stwierdzenia wypadku porwania, bo tak musimy sprawę tę traktować. Zdążyłem zatem już w tym czasie dowiedzieć się, że po wylądowaniu w porcie, mister Puroll rozmawiał z jakimś człowiekiem potężnej tuszy i o twarzy owalnej, gładko wygolonej. Kim był ten człowiek — nie udało się stwierdzić ani mnie, ani agentom fabryki samochodów, ani też nawet policji stanowej. I oto dzisiaj szczęśliwy traf chciał, że spóźniłem się na przylot samolotu, który przywiózł państwa z Hoolywood. W międzyczasie, gdy informowałem się w tej sprawie u pilota, który przyprowadził nasz samolot, nadleciał na lotnisko i wylądował samolot Slima O'Conora. Po chwili wysiedli z niego dwaj mężczyźni: jeden gruby, o twarzy owalnej, dobrodusznej i jakby wiecznie uśmiechniętej, drugi młody, szczupły, wysoki, z charakterystycznymi wąsikami á la Fairbanks. W mózgu moim, na widok tego grubaska dobrodusznego, skombinowały się zaraz dwa pojęcia: człowieka, który rozmawiał z ministrem Purollem w porcie w chwili jego wylądowania i obecnego pasażera samolotu O'Conora. Zachowując ostrożność, przeprowadziłem obu dżentelmenów aż do parku samochodowego i tutaj straciłem ich z oczu, gdyż wsiedli do jednego z wozów i natychmiast odjechali do miasta.

— Czy nic między sobą nie rozmawiali? — zainteresował się żywo Hoover. — Nie wpadło panu żadne słowo charakterystyczne lub nazwisko w ucho?

Tear zastanowił się na moment, po chwili zaś odrzekł:

— Nie mogę twierdzić stanowczo, ale tak mi się coś wydaje, że dwukrotnie padło z ust grubasa ostrożne słowo „Brown".

— Stop! To dosyć! — zawołał Hoover, i, nie tłumacząc się nikomu, podniósł słuchawkę telefonu do ucha. Po chwili zaczął mówić do kogoś na drugim końcu linii: — Hallo, to ty, Ted?... Słuchaj: weźmiesz z sobą dziesięciu ludzi i udasz się pod siedzibę naszego kochanego eskulapa, dostojnego profesora Browna... Tak, tak, naszego cudotwórcy. W tej chwili ma on tam ciekawą wizytę „Stokrotki", którego, jak wiesz szukamy od dawna... Postaraj się dostawić go do mnie możliwie najrychlej. Tak, tak, będzie mi ogromnie przyjemnie, gdy znowu ucieszę oczy widokiem naszego najmilszego dobrodusznego grubaska. Sprawa jest niezmiernie ważna i bardzo pilna... Yes... Pospiesz się i wykonaj wszystko...

Hoover odwiesił słuchawkę i zwrócił się następnie do swoich gości.

— Zdaje mi się, szanowni państwo, że niebawem rozwikłamy zagadkę zniknięcia

mister Purolla. Ale gdybym się nawet mylił, to i tak dostanę w ręce człowieka, za którym uganiamy się już od długiego czasu. A ten wie dużo, nawet bardzo dużo.

— Pytanie tylko, mister Hoover, czy zechce on mówić? — wyraził wątpliwość Tear. — Niektórzy gangsterzy, jak słyszę, bywają wytrawnymi i przemyślnymi łotrami, obdarzonymi niezwykłą przytomnością umysłu i bezczelnością, a z takimi walka trudna.

Hoover uśmiechnął się tylko i odrzekł spokojnie:

— Weźmiemy go na „oddział zeznań dobrowolnych", a tam będzie już śpiewał o wszystkim, jak wyuczony szpak.

— Może byśmy jednak pojechali na pomoc pańskiemu wysłannikowi? — zaproponował Decay. — Mister Tear widział tego człowieka na lotnisku, mógłby wskazać go i uniknęło by się pomyłki.

— To zupełnie niepotrzebne — odrzekł spokojnie Hoover — pośród wszystkich gangsterów, jacy chodzą po wolności w cią, dostawiony zostanie tutaj. Chwilowo więc pożegnam państwa i proszę być najlepszej myśli. Mam takie przeczucie, że wszystko zakończy się bardzo pomyślnie.

— Jesteśmy w „Metropolu"", majorze — poinformowała miss Cecylia — będziemy każdej chwili czekali szczęśliwej wiadomości od pana.

— O'key, zrobione!

W chwilę później Hoover znalazł się na „oddziele zeznań dobrowolnych", gdzie już znajdował się Thomas Hemlock pod strażą policemanów. Gangster siedział przykuty do głębokiego fotelu i nie stracił nic ze swego dobrodusznego wyglądu, tak charakterystycznego dla niego zwykle.

— Jak się masz „Stokrotko" — powitał go detektyw. — Tyle czasu uganialiśmy się za tobą, tak bardzo już stęskniłem się za twoim widokiem, aż w końcu spotkaliśmy się znowu. I cóż, jakże teraz będzie z nami?

Nie popełniłem żadnej zbrodni — odrzekł Tom — Jestem niewinny.

— Nie bardzo. Coś nie coś przecież ci błysnął rewolwer i za chwilę kula przeszyła ramię boksera. Siki zaczął uciekać, ty udałeś się za nim, ale nie strzelałeś. Czekałeś na przejazd metra, którego szyny biegną nad ulicą. Wreszcie ukazał się pociąg i gdy hałas jego zagłuszył wszystko, padł drugi twój strzał. Batling Siki zachwiał się, lecz nie upadł. Jego żelazne zdrowie zniosło obecność drugiej kuli. Pociągi przechodziły tam co minutę. W tym samym czasie padały twoje strzały. Dopiero ósma kula położyła kres życiu Siki'ego. I cóż, czy teraz przypomina ci się to wszystko?

— Nieprawda! Nie masz pan żadnych dowodów przeciwko mnie.

Hoover uśmiechnął się kącikami ust.

— Ach, o to ci chodzi? Owszem, do niedawna wszyscy wprawdzie wiedzieli, w jaki sposób zginął Siki, ale nie potrafiono zebrać dowodów przeciwko tobie. Towarzysze znaleźli ci nawet wtedy alibi i dlatego mogłeś chodzić dalej po salach bokserskich i szantażować pięściarzy. Ale dzisiaj, mój kochany „Stokrotko", skończyły się piękne dni twojej wolności. Dowody

---

Nad pełnym uroku jeziorem Dryświaty,

na czarującej swą egzotyką Wileńszczyźnie toczy się pełna emocji i zarazem romantyzmu akcja naszej nowej powieści p. t.

Duch Nocy

Subtelna nić wielkiej miłości snuje się poprzez spokojne życie w wiejskim dworze, a dwa wydarzenia, jedno wstrząsające: pojawienie się Ducha Nocy, i drugie radosne: pobyt wojska — stanowią jakby punkt wyjściowy dla arcyciekawej akcji naszej nowej powieści p.t.: Duch Nocy, której autorką jest Ema Violetta Indianka.

Druk tej powieści rozpoczniemy w jednym z najbliższych numerów.

---

dniu dzisiejszym, tylko jeden znajduje się „dobroduszny grubasek", a tym jest nasz „Stokrotka". Zobaczycie zresztą państwo niebawem, że mój Ted Holiday nie pomyli się, nie da się wywieść w pole i żywego lub umarłego „Stokrotkę" dostarczy nam tutaj najdalej za godzinę.

— No, niewielka pociecha dla nas, majorze, jeżeli ów gangster dostarczony nam zostanie martwy, zauważyła miss Cecylia.

— Ach, miss Cecylio, nawet i w tym wypadku jesteśmy wygrani. O ile, naturalnie, „Stokrotka" wmieszany jest w tę aferę, a tak mi się wszystko wydaje, że to jego i jego bandy sprawka.

— Mój Boże, oby tylko nie zamordowano biednego Rogera! — westchnęła Kaja.

— Nie przeżyłabym tego.

— Na razie nie ma obawy, aby to się stało, chociaż taka możliwość nie jest wcale wykluczona. Gangsterzy bowiem mają zwyczaj, że w razie wykrycia ich i oskarżenia, mordują swoje ofiary i niszczą wszelkie ślady.

Kaja zbladła śmiertelnie.

W godzinę później odezwał się na biurku telefon. Hoover słuchał czyjejś rozmowy czas jakiś, potem wydał jedno i drugie polecenie i w końcu powstał.

— No rybka w saku — uśmiechnął się, zacierając ręce — niebawem nasz szczupak, który tyle czasu umykał przed siesię udowodni. Nie zaprzeczysz chyba, że bokser Batling Siki padł z twojej ręki.

— Nieprawda, nie zamordowałem Siki'ego.

— Przeciwnie, mam na to dowody i mogę nawet opowiedzieć, jak się to stało.

Hoover usiadł naprzeciw gangstera, zapalił papierosa, zaciągnął się dymem, puścił nawet jeden jego kłąb w stronę Hemlocka, a potem rzekł:

— Wprawdzie ty sam doskonale wiesz, jak i dlaczego zginął Batling Siki, ale że to działo się dość już dawno i zapewne zapomniałeś o tym, dlatego postaram się przypomnieć ci wszystko. A więc: Batling Siki walczył w Nowym Jorku, gdzie się tylko dało, a ponieważ po pokonaniu Carpentiera był w istocie nie do pobicia, więc też zwyciężał wszystkich swych przeciwników. Nie było to jednak po myśli twojej i twoich przyjaciół i zażądaliście, ażeby Siki zrobił kilka walk „fingowanych". Ten jednak zbyt pewnym był sił swych muskułów i młodości, by się was ulęknąć. Prowokował też was przy każdej okazji, aż pewnego dnia wydaliście tu, w Nowym Jorku, wyrok śmierci na Batlinga. Wyznaczyliście mordercę, a tym byłeś ty, Hemlock. Pewnego dnia spotkałeś Siki'ego w jednym z barów na 10 Avenue. Po sprowokowanej kłótni, gdy murzyn chciał cię rozciągnąć uderzeniem pięści, w twoim ręku posiadam i jeśli ominie cię krzesło elektryczne, posiedzisz sobie ze dwadzieścia lat w Sing-Sing. Spotkasz się tam z Al Capone'm, z Blackburn'em, twoim serdecznym przyjacielem i wielu innymi.

— To wszystko są bardzo ładne bajeczki, mister Hoover — odrzekł wcale nie stropiony Hemlock — i byłyby one może bardzo ciekawe, gdyby były prawdziwe.

— Tak myślisz? Ha, może i to być. Jeżeli jednak nie wyznasz dzisiaj wszystkiego, nie będę ja Hooverem. Daję ci dziesięć minut czasu do namysłu, czy chcesz odpowiedzieć szczerze na wszystkie pytania, jakie ci postawię, czy też mam zastosować do ciebie badanie „trzeciego stopnia". Pomyśl dobrze.

Hoover powstał energicznym, sprężystym krokiem i opuścił pokój. Dwaj policemani zostali przy Hemlocku, aby, mimo przykucia łańcuszkami do fotelu, pilnować go, by nie uciekł.

Na dźwięk słów „badanie trzeciego stopnia", Tom poczuł gęsią skórę na ciele. Wiedział, co go czeka. Znajdował się przecież w „oddziale zeznań dobrowolnych", a oddział ten nie był nieznany żadnemu przestępcy nowojorskiemu. Było to bowiem miejsce najbardziej wyrafinowanych tortur, jakie stosowano do upartych i zatwardziałych gangsterów, oskarżonych o zbrodnie.

(Dokończenie nastąpi)

LUCYNA ROKOMYSKA

9)

Biały Płomień

— Tu, proszę pani. Ale jakby trza było, to sie zaroz wyprowadzema do córki. Pani tu nojpierw z panem jest tak, jak downi? — pytała Wojciechowa.

Luta zbladła.

— Sama jestem. — A u Wojciechowej wszyscy zdrowi?

— Bóg zapłać! Ale, gdzies pon? — nie dała się zbyć Wojciechowa.

Śliczne oczy Luty napełniły się łzami...

— Bójcie się Pana Boga — cheba pani nie ogdowiała? — zatroskała się stara kobieta.

Luta odwraca twarz. Przed oczami duszy przesuwa się zatarty prawie obraz:

Maleńka dziewczynka siedzi na wysokiej bryce. Przed nią morze głów... i trumna unosząca się ponad wszystkimi tymi głowami...

Dziecko nie płacze... nie może płakać, tylko ma wrażenie, że jej serduszko trzyma ktoś w strasznej mocnej i lodowato zimnej dłoni...

Teraz taka sama zimna, lodowata dłoń, objęła w uścisk serce...

Głos Luty jest zmieniony, inny, gdy mówi:

— Do widzenia, Wojciechowa. Zaglądnę tu jeszcze do was.

Kobieta chyli się znów do ręki Luty, ale nie śmie już zapytać o nic.

— I co się beło pytać — mówi do siebie po chwili, patrząc za idącą w górę „cieniutką" panią — nie widziałamże to żolu na ji twarzy?...

— — — — — —

— Tak... O Andrzeju powinnam myśleć tak, jak o umarłym — myśli Luta idąc powoli dalej. — I niczego się od niego nie spodziewać — niczego nie pragnąc, jak nie pragnie się i nie spodziewa niczego po człowieku, który leży w ziemi. — Te miejsca tu, nie powinny budzić we mnie żalu, jeno to, co budzi się w nas, gdy odwiedzimy stary, kochany grób: słodycz wspominań o tym, co było...

— W sercu Andrzeja nie było nic, prócz miłości do sztuki — przychodzą na myśl słowa śpiewaka o melancholijnym spojrzeniu, wyrzeczone do niej kiedyś w krakowskim teatrze. — Więc jakże mogę go winić? I jakże źle o nim myśleć?

Na twarzy Luty pojawia się dobry, prawie serdeczny uśmiech.

— — — — — — — — —

W kościółku na górze nie zmieniło się nic. Tak samo, jak przed laty, drzwi szeroko otwarte zapraszały do wnętrza ubożuchnego, ale miłego nad wyraz; ten sam miły ksiądz staruszek wyszedł ze mszą i zdawało by się, że ten sam wiejski chłopczyna ukląkł na stopniach ołtarza.

Luta uklękła w ławce.

Poczęło ją kołysać morze myśli... myśli dobrych, cichych, a nie tych z domieszką bólu, których tyle krążyło wokoło niej w ostatnich latach.

Chwilami dziwiła się, że nie cierpi...

A gdy podczas „podniesienia" schyliła głowę na splecione dłonie — zaczęły na nie, tak samo, jak wtedy — w dzień jej ślubu, padać łzy... Ale były to łzy ulgi, że wszystko już poza nią: miłość, tęsknota, wieczny niepokój, niedający się niczym oddzielić od kochania i ta męka, która szarpała jej serce tak długo....

— — — — — — — —

Czyżby zimna dłoń, którą czuła jeszcze teraz na sercu, zgasiła w nim palący się krwawo ogień?

ROZDZIAŁ XXXII.

Przy obiedzie Basia parę razy spojrzała ukradkiem na siostrę.

Czy to możliwe, aby się Luta tak wspaniale maskowała?

Bowiem z przepysznych, ciemnych oczu znikł gdzieś wyraz cierpienia, a na usta wybiegał raz wraz radosny uśmiech...

Basia nie wytrzymała; w pewnej chwili odezwała się:

— O czym myślisz, Luto? Obiad się kończy, a my nie zamieniłyśmy z sobą ani słowa jeszcze.

— Myślę, Basiu,... o przecudnym witrażu Wyspiańskiego z kościoła Franciszkanów w Krakowie; o tym, znad chóru, na którym Bóg mocnym, wszystko mogącym ruchem ręki — woła: „Stań się!..."

— Ile tylko razy jestem w Krakowie — mówiła Luta dalej — idę do tego kościoła o pięknym wnętrzu, przesłoniętym wiecznie gazą mroku, wtulam się w jedną z przegród stalli poważnie rozsiadłych koło wielkiego ołtarza i zapatrzona w najpiękniejszy witraż Krakowa, siedzę tak nieraz długie chwile...

— I wiesz, myślałam nieraz, że ten tęczowy zwid, potrafiłby niejedną chorą duszę uzdrowić...

Luta odwróciła twarz w stronę okna i patrząc na pola zalane powodzią słońca kończyła ciszej, jakby tylko dla siebie:

— Tak, o ile tylko Bóg chce, to jednym „stań się" przemieni serce człowieka...

— — — — — — — — — — — —

Maj miał się ku końcowi, pieścił jeszcze ziemię ostatnimi krużami dni nalanymi po brzegi błękitem i słońcem; wieczorną porą niósł melodię „litanij", śpiewanych po domach, a noce przystrajał niebem haftowanym bogato w ornamenty z gwiazd...

— — — — — — — — — — —

— Chodź Luto, usiądziemy sobie w oknie i będziemy gwarzyć.

Basia objęła siostrę w pół, pociągając ją ku oknu.

— Dobrze, ale musisz przyrzec — Luta podniosła z żartobliwą powagą palec do góry — że nie będziesz się natrząsała ze słowiczego śpiewania?

— Ależ naturalnie! Przyrzekam,.. To, przecież ma taką starą, wyrobioną „markę", więc gdzież bym mogła — drwiła już Basia.

Luta nabrała w garść wijących się loczków z fryzury Basi, przyciętej krótko po męsku, poszarpała chwileczkę...

— Masz, materialistko! Chciałabyś może, aby ci słowiki jaki najnowszy „szlagier" zaśpiewały?

— Tego znów nie wymagam, ale w każdym razie haniebnie mnie zawiodły... Mój Boże! Co sobie to człowiek za rozkosze obiecywał po słowiczym śpiewaniu w czasie, gdy zaczynał być panną! A tu — jakieś kląskania... jakieś trzeszczenia i najzwyczajniejsze gwizdy...

— Widzisz Basiu, wszystko to, co mówisz jest wynikiem tego, żeś się jeszcze nie zakochała... — broniła praw słowiczych Luta. — Ale poczekaj, przyjdzie na ciebie taki czas, w którym usłyszysz cuda w słowików śpiewie...

— Być może... Dzieją się na świecie cuda, o jakich się filozofom nie śniło — zgadzała się Basia. — Ale teraz rzeczywiście wolałabym, aby w braku radia, zaśpiewały mi jaki „szlagier"...

— I to — Luta puknęła palcem w czoło Basi — miało starą, dawno wyrobioną „markę", że jest pełne powagi?

Wybuchnęły obie głośnym śmiechem.

— To są żarty — powiedziała po chwili Basia — ale mówmy serio....

— Czy ty, Luto, wierzysz naprawdę w miłość? Ja nie mogę uwierzyć...

— Bo jak — kontynuowała po krótkiej przerwie widząc, że Luta milczy — można uwierzyć w miłość na ziemi, kiedy nawet Boża miłość czasem zawiedzie?

— O czym mówisz, Basiu?



Nowy poseł republiki Dominika przy rządzie niemieckim w drodze do kanclerza Hitlera.



Z okazji obchodu Tygodnia Przeciwrakowego złożono wieniec przy pomniku Marii Curie Skłodowskiej w Warszawie.

— Mówię o siostrze mojej koleżanki, która teraz na wiosnę, umarła na suchoty. Urodzi się taki człowiek, dożyje pewnych lat, nie zdziaławszy nic, sam dla siebie nie zdąży też nic wziąć od życia... i musi umrzeć. Choćby nie wiem jak pragnął żyć — unosiła się Basia — choćby jeszcze na samym końcu wierzył w cud, nie doczeka się tego cudu i odejdzie cierpiąc nie tylko fizycznie, ale i moralnie!...

— Może taki człowiek cierpi za czyjeś winy? — zaoponowała Luta niepewnym głosem.

— Fe, Luto. Na pewno nie myślisz tak jak mówisz! — Oburzyła się Basia. — Wierząc tak, musielibyśmy uwierzyć także, że Bóg jest okrutnikiem! Nie mogę sobie przecież wyobrazić jak mogłabym za dziecko złe, ukarać dziecko dobre i słabsze od tamtego? No, powiedz, przecież nawet przypuścić czegoś takiego nie można?

Luta nie odpowiedziała na razie nic.

Zapanowała dłuższa cisza.

— Albowiem są myśli, do których człowiek boi się przyznać nawet przed samym sobą...

— Jakże trudno to wszystko zrozumieć!... — westchnęła Basia po chwili milczenia. Luta obróciła twarz w stronę siostry.

— Tak, bo my bierzemy rzecz po ludzku, a któż wie, jakie jest Boże wyrachowanie. My, ludzie, mierzymy wszystko na krótkie godziny naszego bytowania, a Bóg ma przed sobą wieczność...

Luta oparła głowę na ręce i mówiła dalej:

— Dla Boga ten, czy ów człowiek, to tylko dalszy ciąg pierwszego człowieka; dlatego to więc czasem za dziada karze wnuka, lub za dobro uczynione przez nas, nie my bierzemy nagrodę, tylko nasze dzieci...

— Widzisz — dodała jeszcze — mama powiedziała mi kiedyś, gdy było mi jeszcze bardzo źle, że wszystko jest nam w życiu potrzebne, nawet nieszczęsne godziny.. Wtedy uśmiechnęłam się tylko niedowierzająco, a dziś już wiem na pewno, że to prawda...

— Więc mimo wszystko Luto... — Basia zawahała się. Nie chciała widocznie sprawić siostrze przykrości.

— Dokończ, Basiu! — powiedziała Luta kładąc miękko dłoń na ręce Basi leżącej na oknie..

— Więc mimo wszystko, coś przeszła, wierzysz w miłość? — zapytała Basia.

— Wierzę mimo wszystko... — odpowiedziała Luta pewnym, choć nieco smutnym głosem.

— Tak, miłość jest — powtórzyła jeszcze — tylko my nie umiemy spokojnie czekać na nią... Damy jej zawsze wcześniej w wyobraźni wiecznie radosną, uśmiechniętą twarz; ubierzemy w same tęczowe kolory i po tym dopiero, gdy przyjdzie ta rzeczywista, a jakże inna miłość, krzyczymy, że jej nie ma, bo nie odpowiada naszemu marzeniu...

Basia milczała.

— Jest jedna miłość na ziemi — poczęła znów Luta po malutkiej przerwie, podnosząc oczy ku gwiazdom — o której nikt nie marzy, nikt jej w żadne blaski nie ubiera, a jednak jest najpiękniejszą i taką, która nigdy nie zawiedzie...

— Miłość matki... — szepnęła ze słodyczą w głosie Basia.

Nad Dunajcem począł się ścielić biały pas mgły.

Gasły światełka w oknach domów...

Wieś cichła, a wzmagał się szum rzeki, głuszony za dnia odgłosami toczącego się życia...

— Późno już, Basiu — powiedziała Luta, podnosząc się z krzesła.

— Tak. Czas spać, bo jutro dzieciska zbudzą nas jak zwykle przed siódmą — dodała Basia, wstając również.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Czerwiec za przykładem maja, zaczął rodzić dni również piękne, może tylko odrobinę chłodniejsze.

Zboża poczęły się płonić

Codziennie cięższe od pełniejszych ziarn kłosy — radowały serca tych, co od zeszłej jesieni czekali na to. Siana stały już w kopcach, rozsiewając wokoło przecudny zapach lata.

Dunajec zostawiwszy daleko swoje zielone obramowanie: łozy, utworzywszy dwie szerokie „plaże" z kamieni po obu bokach, płynął spokojnie siwą, kapryśnie powykręcaną wstęgą. . .

Luta codziennie zaraz po obiedzie brała na rękę pled, kostium kąpielowy, wdziewała na głowę biały, płócienny kapelusz o szerokich kryzach i szła nad rzekę. Nad wodą rozścielała pled na rozgrzanych słońcem kamieniach i kładła się poddając ledwo okryte ciało fali złotych promieni.

Kołysał ją jednostajny, miły szum rzeki, — koił przedziwny spokój rozlany w powietrzu... Czasem w szmer wody wplatał się ostry krzyk ryby całujących co jakiś czas smukłym ciałem wodę w pogoni za upatrzoną rybką... Czasem przemknął barwny, do rzuconego na wodę kwiatu podobny, kajak jakiegoś wycieczkowicza....

Poza tym nic nie rozpraszało myśli lecącej, gdzie chciała...

— Jest mi niewypowiedzianie dobrze teraz — szeptała czasem do siebie — patrząc spod zmrużonych powiek na iluminowane słońcem fale Dunajca.

— O, nie chciałabym za nic, żeby Andrzej wrócił... Wolę po stokroć ten dobry spokój w sercu, niż największe miłosne szczęście...

Nieraz znów zastanawiała się, czy wybrałaby to samo, co jej życie przyniosło gdyby jeszcze raz te lata przed poznaniem Andrzeja, wróciły?

Po namyśle dochodziła do wniosku, że nie zmieniłaby w swoim życiu nic, że tak, jak było — było dobrze...

— „Kilka kropel z pucharu miłości — szeptała do siebie z uśmiechem — wynagradza całe życie pełne trudów i męki" — powiedział Goethe.

— To nic, że Andrzej jej nie kochał prawdziwie... Nie kochał też żadnej innej kobiety. Miłował tylko swoją sztukę...

A ileż pięknych, wzniosłych wzruszeń miała z powodu tej jego jedynej miłości! Czyż miałaby je, gdyby było inaczej?

Poczęło przesuwać się w myśli wspomnienie cudnej chwili w krakowskim teatrze... Po tym — otulone mrokiem godziny w Szwajcarii, gdy Andrzej grał tylko dla niej... I te w tutejszym kościółku, kiedy słuchała mszy odprawianych przy wtórze jego muzyki...

— — — — — — —

— A, pani Velli. — No, jak się tam powodzi związanemu przeze mnie stadłu? — witał Lutę wesoło stary proboszcz.

Na mszę było jeszcze za wcześnie, więc Luta przyszedłszy tu na górę, usiadła na ławeczce plecionej z wierzby pod jedną z lip. Tu naszedł ją proboszcz.

— Dziękuję księdzu. Podobno zawsze mamy to, na co zasłużyliśmy.

— No, nie zawsze... nie zawsze... — począł chwiać siwiuteńką głową staruszek, — zdarzy się także inaczej; czasem mamy to, na co nie zasłużyliśmy...

— Więc co wtedy, księże proboszczu? — zapytała niby żartem Luta.

— Wtedy mówi się: „Fiat voluntas Tua". Innej rady nie ma... — odrzekł ksiądz, patrząc zza zsuniętych na nos okularów siwymi, dobrotliwie uśmiechniętymi oczyma.

— „Fiat voluntas Tua." — Pokorne słowa... — powiedziała Luta w zamyśleniu. —

Ciąg dalszy na stronie 993.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

O ÓSMEJ WIECZÓR...

Gdy ósma godzina nadchodzi
i noc nad miastem zapadnie —
gdy pustka zalegnie ulice,
jak wówczas na świecie jest ładnie!...
Latarnie miejskie płoną
i kreślą świetlane koła...
miasto czerwieni się łuną
i ciszą dzwoniącą nas woła —
To wszystko tak prawie wygląda,
jak w bajce zaczarowanej...
gdy my — jesteśmy wtenczas,
w melodię serc — zasłuchani...
Wiatr szepce opowieści,
miasto się w rzece przegląda —
słyszę szept słów uśmiechniętych:
cudownie to wszystko wygląda!...

Jan Feliks Płóciennik

DOBRE RADY PANI ZOFII

WRÓCIŁEŚ JUŻ DO RÓWNOWAGI PSYCHICZNEJ?

„Wiejski Chłopiec“. Takie mi rzeczy opisujesz, że aż dziw zbiera człowieka i uwierzyć trudno — i wycierpiałeś się, Biedaku, tak niesłychanie! Teraz zapewne wróciłeś już do równowagi psychicznej i znowu jasno patrzysz na świat. Życzę Ci moc radości w rekompensatę za wszystkie trudy i zmartwienia.

Napisz mi czym prędzej, jak się czujesz obecnie i czy spotkało Cię już coś miłego?

Komunikaty:

Tu „Wiejski Chłopiec! „Wiejska — Dziewczynko“, — jestem już w Polsce, a gdzie Ty? Jeśli jesteś w Polsce lub Francji, napisz!!! Powinszowanie odebrałem, dziękuję — pisałem — wrócił...

„Samotna Włościanko“ — znam Cię... pozdrawiam!

„Różyczko“ — w Belgradzie — pozdrawiam Cię... Pa!!

Halo! „Milwaukee“! „Zbóju“ — tak — tak — było!...

Całą „Krainę“ pozdrawiam i ściskam!

SŁUSZNIE ZAUWAŻYŁEŚ!

„Dyktator“. Słusznie Pan zauważył, Mój Chłopcze, że im częściej piszesz, tym bardziej się z Tobą zżywam i tym bardziej Cię lubię.

Powiedz mi proszę, czy już przebolałeś stratę przyjaciela? Wiem, iż ciężko Cię ona dotknęła i że nie mogłeś pogodzić się z bolesnym faktem jego śmierci. Sporo czasu upłynęło już od tamtych smutnych dni i sądzę, że rozpacz Twoja już przycichła. Życzę Ci tego szczerze!

A teraz przyjmij mocny uścisk dłoni i pamiętaj o obowiązku pisania do nas!

WEŹMIESZ SZCZĘŚCIE NA WŁASNOŚĆ!

„Zuch dziewczyna“. Cieszy mnie, że tak dziel nie trzymasz życiowe złe doznania za rogi i że się im zgnębiać nie pozwalasz! Kto ma tak jasną twarz i tak otwarte, tkliwe serduszko, jak Ty — zwycięży wszelkie okrutne losy i weźmie sobie na własność szczęście!

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty:

Poznań! Jeśli ktoś z Rodzinki zna pp. Lidkę Hyczkównę i Leśkę Włodarczykównę — słuchaczki medycyny II-gi rok — to bardzo proszę przesłać pozdrowienia od Maryśki D. z Rudy P.

Pan Marian D. z Rudy. Ślę tą drogą moc pozdrowień.

„Eros“. Jeśli chce Pan nawiązać kontakt, proszę skreślić kilka słów pierwszy!

„Marylka J.“ Cudny jest Twój wierszyk „Na dzień Zaduszny“. Nie wiem dlaczego, ale dziwnie czułam, że jest on dla mnie, choć może nawet o mnie wtedy nie myślałeś. Kocham Cię bardzo Maryluś!

Pan M. Grzegorski. Nigdy nie wyrażam zachwytu nad wierszami, choć lubię je i niektóre wzruszają mnie bardzo — jednak ostatnie pt. „Cmentarze“ i „Nie płacz Matko!“ wycisnęły mi z oczu łzy. Dziękuję, serdecznie dziękuję za te cudne słowa!



„Księżniczka Henrietta“ śle pozdrowienia członkom naszej „Rodzinki“.

PRZYJMUJĘ!

„Zola“. Przyjmuję Panią do naszej „Rodzinki“, która na pewno odniesie się do Niej bardzo miło.

Bardzo będę rada wizycie Pani w redakcji — może ona nastąpić w każdy dzień tygodnia.

Pozdrawiam Panią serdecznie i w Jej imieniu przesyłam „Smutnej Iwonce z wesołej trójki z Bydgoszczy“ wagon całusów.

WIADOMOŚĆ DLA „SZATYNKI Z PODLASIA“.

„Veuve 25“. Przepisuję poniżej list Pani w nadziei, że on zjedna Jej sympatię „Rodzinki“. Życzę Ci tego z głębi serca!

„Ze smutkiem stwierdzam, że apel mój był daremny, bo dotychczas nikt się mną nie zainteresował.

Zdecydowałabym się pierwsza napisać, gdyby Pani zechciała wskazać mi odpowiednie osoby.

Dla „Szatynki z Podlasia“ mam wiadomość. O ile chodzi o miejsce pobytu p. Tamary Październskiej, obecnie Ziętarowej, radziłabym — w celu ustalenia — skomunikować się z jej teściami, pp. Ziętarami, mieszkającymi w Chełmży, naprzeciw dworca. Czy Pani uczęszczała do gimnazjum w Bydg?... Ja ukończyłam ten zakład w r. 1932. Rada bym nawiązać z Panią kontakt!“

NAPRZÓD PRZYŚLIJ ADRES!

„Klejnocik“. Nieprędzej przyjmę Panią do „Krainy“, jak po nadesłaniu przez Nią dokładnego adresu dla mego wyłącznego użytku!

Pozdrawiam i czekam!

CHCĘ WIEDZIEĆ!

„Jasnowłosa Circe“. Było by dobrze, żebyś przysłała mi znowu długi list, w którym byłyby wszystkie wiadomości, dotyczące Twej osóbki. Bardzo chcę wiedzieć, co z Tobą?!

Czekam niecierpliwie na odpowiedź!

„Halo! „Rozśpiewana Izabello..! Zdaje się, że się znamy. Byłaś zeszłego roku w maju na kursie w Bninie? Moc pozdrowień. Zgadnij, kto ja?

„Dzikusko“. I my się znamy. Co porabiasz, Marylu? Przy najbliższym spotkaniu zdradzę Ci, kim jestem. Mocno Cię ściskam.“

ANI SIĘ PAN OPATRZY! —

„Eł-ka“. To dobrze, że okresowa depresja minęła już — oby niepowrotnie!

Jak będzie Pan czuł, pierwsze gorycze zbliżającej się chandry, natychmiast proszę się zabrać do jakiejś intensywnej, wymagającej ogromnego skupienia pracy lub pójść na daleki spacer, a ani się Pan opatrzy, jak wróci dobry humor.

Nowelę Pana pt.: „Triumf aspiranta“ wydrukuję po kilku poprawkach.

Pozdrawiam Pana serdecznie.

DO „KRAINY“

Hej! kochana Ty nasza „Kraino“,
Co cały przesłaniasz nam sobą świat!
Hej! Pani Zofio! Matuś jedyna —
Złodzieju kochany, boś serca nam skradł!

Słuchajcie pilnie, co Wam tu powiem —
Jesteście mili, tak strasznie mili,
że niech się złego coś o Was dowiem,
już ja „złoczyńcę“ tego „opylę.“

Powiem Wam jeszcze, że Wuj kochany
chociaż po skórze nam nieraz daje
i tworzy z wierszy naszych kurhany,
to jednak rację ma, gdy nas łaje.

Wszak to dla dobra naszego przecie
nie chce miernotą paść naszych braci
Czyż w życiu w kosz się nie rzuca śmieci?
Po cóż więc próżno czas drogi tracić?

I kto wie — może również te rymy,
zajrzą do kosza — zginą bez śladu.
Nie ujrzą nigdy kartek „Krainy“,
Kosz im się stanie pewną zagładą.

Trudno — los taki, choć łzę wyciska,
nadzieję złudną nam w sercu krzepi.
I ta nadzieja nigdy nie pryska —
wciąż wierzym w jutro, że będzie lepiej.

Może dlatego tak wiele piszę,
że chcę powiedzieć jeszcze „Krainie“,
iż na protekcję jej głównie liczę,
więc niech się wstawi, a Wuj wiersz przyjmie.

Chcę jeszcze „rzeknąć“ ostatnie słowo,
że kocham całą naszą „Rodzinę“
i że tę miłość głęboko chowam,
że o wzajemność prosi „Kalina“.

„Kalina“.

PRZYJMUJĘ PANA!

„Stem.“ Oto co pisze nasz nowy sympatyk: Proszę Was, Mili „Krainiacy“, o życzliwe przyjęcie do swego grona! Jestem takim sobie „typkiem“ średniego wzrostu, o jasnych oczach i jeszcze jaśniejszych poglądach na życie. Nade wszystko lubię... świeże powietrze, muzykę, taniec i śpiew!

„Latorośli Kaszubska“! Ręczę, że się znamy.

„Uśmiechnięte Kaszubianki“ — pozdrowienia!

Dla całej „Krainki“ — miłe pozdrowienia i uśmiechy!“

DZIĘKUJĘ!

„Czarodziejka“. Dziękuję Ci, kochana, za pozdrowienia przesłane z Brodnicy i zapytuję, czy jesteś tam jeszcze?

Całuję Cię mocno i proszę o list!

JESTEŚ KOCHANA!

„Wenus“. Tak bardzo przejęłaś się niemożnością przyjazdu do Żnina? Kochana jesteś, mocno kochana!!

A jak tam ze sprawnością sportową, czy jesteś jeszcze zawsze w tak wspaniałej formie?

Całuję Cię serdecznie i oczekuję jakiegoś znaku!

OBIERZ INNY PSEUDONIM

„W. S. — K. Rgilewski“. Przyjmuję Cię do „Krainy“, lecz pseudonim musisz sobie obrać

inny „Polska Syrena“ wcale mi się nie podoba. Odpowiadam Ci pod pierwszymi literami Twego nazwiska.

Więc pospiesz się — ja czekam!

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem dosłonia zalegających w redakcji listów, proszeni są:

„Kartusz“, „Lechisław“, „Efzet“ „Podchorąży z Grudziądza“, „Zadumana Renata“, „E-duch — harcerz“, „Fela“, „Marzące Oczy“, „Cisieńka“, „Leśna Dziewczyna“.

„UMIAŁAŚ“

Pani Zofii — jako wyrażenie moich uczuć. —

Umiałaś w szarość dni, wpleść słońca promień złoty,
Umiałaś w pyle dróg ścieżynę taką wskazać,
Że serca same szły na jakieś wyższe wzloty,
Umiałaś mówić tak, że słów nie sposób zmazać...

Umiałaś w niwę dusz, złociste rzucać ziarna,
Umiałaś miłość w nas na każdym budzić kroku.
Mówiłaś: że choć noc otuli ziemię czarną,
To serca młode lśnić, powinny nawet w mroku!

Umiałaś z szarych słów, najskrytsze dumy czytać,
Umiałaś krzesać w nas porywy i zapały.
I każdy odruch serc umiałaś w dłonie chwytać,

Umiałaś w pyle dróg, ścieżyny jasne wskazać,
Umiałaś budzić w nas uczucia te olbrzymie
I Twoich dobrych słów nic nie potrafi zmazać...
I poprzez długie dni... Twe będziem kochać imę!

„Uśmiech szatana“.

CZEKAM NA CIEBIE!

„Lena“. Ależ wybierz się znowu do redakcji, Miła Moja, jeżeli naprawdę masz przyjemność w rozmowie ze mną. Bardzo mi będzie miło!

Jaka powieść wyszła po tej, którą wymieniłaś, dowiedziałaś się już w międzyczasie — prawda?

Życzę Ci, moc radości i czekam na list, albo wizytę!

„Halo! Poznanianki i Poznaniacy, kocham Poznań, jestem tam często, miło było by mi więc z Wami korespondować. Odpowiedź murowana, więc... czekam“.

Pozdrawiam całą „Krainę“.

OZNAJMIAM

„Milutka Poznanianka na Mazowszu“. Przyjmuję Panią do naszego kółka i życzę, abyś



„Zrek“ niedawno poszedł do wojska, a nam raz jeszcze przedstawił się w swej cywilnej postaci.

się w nim czuła, jak w prawdziwej rodzince!

List Pani dosłałam.

„Belfrowi“ oznajmiam w Pani imieniu, że zainteresowałaś się nim bardzo i pragniesz nawiązać kontakt listowny.

Posyłam Pani dobre uśmiechy!

ODDAŁAM WUJKOWI DO OCENY

Ogłuszony kulasek“. Przyjmuję Pana z przyjemnością do „Rodzinki“ i oznajmiam, że wierszyki Jego oddałam Wujkowi Januszowi do oceny.

Pragnę, abyś podtrzymywał z nami żywy kontakt, bo polubiłam już Ciebie ogromnie.

Więc bywaj mi, ale tylko na krótko!

DO KOMUNIKATÓW...

„Lola“. Przyjmuję Cię, Maleńka, do naszego grona, życzę w nim powodzenia i przechodzę do komunikatów:

„Zosia“. — Bardzo Cię pokochałam, boś sportsmenką, ja także przepadam za tenisem. Całuję Cię mocno, może skrobniesz do mnie parę słów?

„Przybłędo Leśny“. — Bardzo mi się Pan podoba, odczułam dla Pana sympatię. O ile zechciałbyś Pan do mnie jakiś liścik skrobnąć, odwzajemniłabym się — i szczerze dziękowałabym Panu.

„Dyktatorze“. — Jesteś chyba bardzo sympatyczny — proszę o parę słów do mnie. Serdeczny uścisk dłoni.

„Złote Jabłko“. — Może napiszesz dla mnie śliczny wierszyk — bardzo bym była wdzięczna. Moc serdecznych uścisków.

„Romek“. — Spodobał mi się Pana wierszyk, może i dla mnie się znajdzie jakiś. Pa.

„Mała Konwalijko“. — Całuję Cię serdecznie, przypadłaś mi do serca, napisz kochana do mnie — odwzajemnię się na pewno.

„Przedwiośnie“, „Wiśko“, „Dumko“, „Henry“, „Barciu“, „Luteńko“, „Smutna Iwonko“; „Maruto“, „Wesoła Pomorzanko“, „Bławatku“ — całuję Was i przesyłam serdeczną prośbę o liściki dla mnie.

„Szyderco“. — Czy naprawdę jesteś takim „Szydercą“, dałabym głowę, że nie. Proszę o liścik i przesyłam serdeczny uśmiech. Pa.

CZY NIE ZAPOMNISZ O NAS?

„Śnieżyca“. I znów jest dzień, w którym załatwiając kolejne listy „Krainiaków“, natrafiam na Twój, pisany czysto, wyraźnie na maszynie, o fabule interesującej i płynnej. Przy każdym Twoim liście stwierdzam, że czytam go z prawdziwą satysfakcją i zaciekawieniem. Masz taki swoisty sposób interpretowania różnych zjawisk życiowych i osobistych przeżyć.

Bogaty jest Twój świat wewnętrzny, jakkolwiek schlebiasz w nim mocno podmiotowości, własnemu ja. Zresztą przekonałam się już wielokrotnie, że kobiety b. indywidualne koncentrują często dużo uwagi na swej własnej osobie, co im oczywiście nie przeszkadza (gdy chcą!) służyć dobru ogółu.

Dowiedziałam się, że w życiu Twoim zanosi się na poważną zmianę — czy i wówczas nie zapomnisz o nas? Bardzo mi na tym zależy!

Posyłam Ci życzliwy uśmiech i zamieszczam komunikaty:

„Szyderco“! — Stawiam wszystko pod znak zapytania. Pozdrawiam.

„Dyktatorze“, czy pseudonim Twój uosabia Ciebie samego? Czy naprawdę odznaczasz się tak silną wolą, że potrafisz ją komuś drugiemu dyktować? Ciekawam!

„Wesoły Broneczku“ — ślicznie dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Ktoś Ty?

Poza tym pozdrawiam wszystkie „Krainianki“ i „Krainiaków“!

ŚMIEJĘ SIĘ, ŚMIEJĘ!

„Smutna i Brzydka Irka“. Cieszy mnie, Mój Ty Łobuziku, że tak bardzo kochasz moją skromną personę, a uczucie to przelewasz także na „Moje Powieści“.

Wybacz, ale w tej chwili śmieję się beztrosko i tak radośnie, jak zapewne Ty sama to czynisz w chwilach największego rozbawienia — śmieję się, czytając Twoje prośby i wynurzenia na tematy kulinarne i odtłuszczające. Dalibóg, zachwycająca jesteś z tą ochotą schudnięcia bez konieczności przestrzegania diety, ruchu etc., etc.

Jeżeli powtórzysz swą prośbę, to sięgnę do nieprzebranego arsenału troskliwych rad i środków zapobiegawczych tyciu, ale musisz, jak rzekłam, powtórzyć tę prośbę.

Wujek Janusz gładko przełknął komplement o „łysaku“ tylko dzięki temu, że towarzyszyły mu (komplementowi) pozdrowienia i jeszcze coś... Uznał też fakt Twej ingerencji w sprawie ciemiężonych zmorą kosza redakcyjnego — żółtodziobów poetyckich, ale radykalnie zmienić się nie przyobiecał.

Całuję Cię, Kochana!

„Przedwiośnie“. — Pozdrawiam i... Sędziny, p. Duszniki, pow. Szamotuły.

„Wicha“. — Mocno ściskam i pozdrawiam!

„Wietrzyk Wiosenny“. Zawiało Cię, co? Schwyć wreszcie za pióro...

Halina Małecka — Grzebienisko: Serdecznie pozdrawia... wie już Pani, kto?... prawda...?

Jadzia Dederek i Walerka Waszak — Sędziny: Mocno was kochane dziewuszki ktoś ściska... Obżartus... (ktoś, kto wam wszystko, gdzie tylko idzie, wyjada i już waży 132 f.)

„Blanka“. — Serdecznie pozdrawiam. Mogę poprosić o kilka słów? Odpowiedź pewna jak w mej dziurawej kieszeni...

„Aneczka“ pozdrawiam i... dlaczego nie piszesz? Przecież czekam!“

PORZUĆ TAJEMNICZOŚĆ!

„Armeńczyk“. Cieszy mnie, że z takim zainteresowaniem czyta Pan każdy numer „Moich Powieści“. Co zaś do wyrażonego przez Ciebie życzenia, abym na razie poprzestała na tym, że podałeś mi tylko pseudonim, to muszę Ci powiedzieć, że nie jestem z tego zadowolona, bo czuję już, że będę miała kłopot z wpływającymi dla Ciebie listami.

Weź to pod uwagę i porzuć przynajmniej ze mną tę, tak lubianą przez siebie, tajemniczość.

Pozdrawiam i przechodzę do komunikatów:

„Smutna René z Węgrów“ czy i nie marzysz o wydostaniu się z tych pól? Pozdrawiam! Nie smuć się, bo choć Ty jesteś „maleńką wśród bezkresów“ — to świat jest wielki i piękny!

„Łowca Przygód“ zainteresował mnie — bo lubię przygody. Zdradzę, że jestem 8 lat starszy i medycyna bardzo mnie interesuje. Może przy okazji ofiaruję Panu coś o medycynie hiszpańskiej. Dobrze?

„Uranowi“ ślę pozdrowienia. Byłem w Pańskiej ślicznej miejscowości. Przy okazji odwiedzę

„Blanko“ — piękny Twój wierszyk, lecz tak smutnie kończysz: „Choć nikt na mnie nie czeka..“ A może czeka! Pozdrawiam!

Pozdrawiam: „Dzikuskę“, Irkę K. z Poznania, „Szatynkę z Podlasia“, a „Faridę“ szczególnie.

„Szukający Podchorąży“ — może zobaczymy się w Poznaniu. Pogawędzimy sobie po przyjacielsku — dobrze?

„Lailo“ — dziwnym zbiegiem okoliczności Twoje Wschodnie imię — stało się imieniem bohaterki mojej nowelki, napisanej przed 6 laty. Czy chcesz dowiedzieć się o niej coś więcej?

Pozdrawiam wszystkich. Piszcie do mnie na łamach naszych „Powieści“. Au revoir“.

CO MÓWI...

„Mała entuzjastka o wielkim sercu“. Ta nowoprzyjęta w szeregi naszych członków dziewczynka napisała entuzjastyczny list na temat „Krainy“ i w słowach, które zamieszczę poniżej, poprosiła o przyjęcie do „Rodzinki“.

Nie musisz, Dziecino, opisywać swego wyglądu zewnętrznego, aby osiągnąć zainteresowanie „Krainy“. To nie jest najważniejsze w przyjaźni, wszyscy wiemy o tym dobrze.

Na Twoje pytanie odpowiadam: nie!

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie!

„A teraz następuje to, co miało być na początku; a więc proszę o przyjęcie mię do „Krainy“. Odnośnie do słów poety: „Kto się usuwa w ciszę i cień, ten się do żywych nie liczy“ — wychodzę z cienia w krąg serdecznego ciepła promieniującego od Pani Zofii i pragnę należeć do „żywych“ członków „Krainy“.

Ciekawi mię bardzo „Samotny Chorzów I“ chciałabym zawrzeć z nim znajomość przez korespondencję.

Pragnęłabym korespondować z kimś, pochodzącym z Małopolski, może ze Lwowa.

Wszystkim, troszkę nieśmiały, troszkę zakłopotany uśmiech, stojąca u bram „Krainy“.

„Mała Entuzjastka o wielkim sercu“.

NIE SMUĆ SIĘ „BLANKO"

Smutek przesłonił Twoje śliczne wiersze,
tyle w nich bólu, tyle w nich rozpaczy,
tyle tęsknoty prawdziwej, najszczerszej!
Żal mi Cię, „Blanko", ja wiem, co to znaczy.

Poświęciłaś miłości całą duszę,
cel swego życia, każde serca tchnienie,
a teraz szczęście bezlitośnie skruszył
los okrutny i w zamian dał cierpienie.

Lecz nie smuć się, „Blanko", świat przecież
tyle radości i słońca wokoło. (piękny,
Może Ci nieraz z bólu serce jęknie,
cierpieniom dumne jednak pokaż czoło.

Nie smuć się „Blanko", bo pocóż się
(smucić,
gdy wokół jesień słońcem się rozzłaca. —
miłość ta sama może już nie wróci,
pamiętaj jednak, że szczęście powraca!

„Wirryt".

STRESZCZAM SIĘ!

„Helusieńka". Nie otrzymasz zbyt długiej odpowiedzi, Kochanie, i nie dlatego, że na nią nie zasłużyłaś, lecz dlatego, że taki stos listów, wymaga pilnej odpowiedzi, iż aby je załatwić, muszę się streszczać do maksimum. Wszystko już dobrze, Dziecino i nie ma o czym mówić!

Pozdrawiam Cię serdecznie i proszę o nadesłanie adresu „Kochanych Oczęt", jeżeli go w ogóle posiadasz.

„Kochane Oczęta" — Iruśko jesteś u mnie w albumie na honorowym miejscu. Czy liścik odebrałaś? Ściskam mocno.

„Bogda". — Milusio pozdrawiam. Napisz, odpiszę na pewno i wszystkiego, co chcesz, się dowiesz.

„Uranie"! Z niecierpliwością oczekuję listu. Serdecznie pozdrawiam.

„Czarny Hajduczku". — Dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam.

Panie Tadeuszu Multański. — Czarujące są Twoje wierszyki, tylko czemu takie smutne?

Moc serdeczności dla wszystkich poetów „Krainy", a szczególnie dla p. T. Rawickiego. Może do mnie napisze choć króciutki liścik?

Panu W. Kaczorowi z Rogowa posyłam serdeczne pozdrowienia. Od kogo, proszę się domyślić.

Niech przyjmą ode mnie pozdrowienia — „Przedwiośnie", „Maruta", „Młody Orzeł", „Zefir Zachodu" i „Szyderca".

„Ord - Om" — dlaczego w „Krainie" nie ma Twoich ślicznych wierszy? Czyż byś o niej zapomniał?

NAPISZ!

„Maleńka Reri". Napisz mi, Maleńka, jak się czujesz teraz w naszym gronie i kogo wybrałaś na stałego korespondenta?

Tyle jest w „Krainie" miłych, inteligentnych panienek, które na pewno potrafią stanąć na wysokości wymagań, jakie mogłabyś stawić swej przyjaciółce in spe.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Czy ktoś z Was, Mili „Krainiacy", posiada powieści Dołęgi - Mostowicza, n. p. „Znachor", „Jego kobiety" lub inne? Tak b. chciałabym je pożyczyć!

„Wisiu" — Pragnę należeć do bliższych Twych przyjaciół, będziesz mi życzliwą?

„Dyktatorze" — milczysz?

„Szyderco" — Nie podobasz mi się! Jednak.. liścik przyjęłabym.

P. J. Baranowski. — Wiersze piękne, proszę przyjąć słowa uznania od jednej z wielu.

Dla całej „Rodzinki" miłe „Pa!"

NIE WIEM!

„Czar Młodości" i „Wiośniany Uśmiech" — Czy byłyście już w Toruniu, Dziewczynki, i czy zadowolone jesteście z tej wycieczki?

Nie wiem, czy „Krainka" o Was zapomniała, ale myślę, że dziś Was sobie przypomni naprawdę.

Życzę Wam samej radości i przedrukowuję komunikaty:

„Krakowiaku", dlaczego nie podjąłeś listu w terminie? Bardzo nieładnie Pan postąpił, adres nasz u p. Zosieńki.

Moc pozdrowień zasyłamy: „Blance", „Czarnemu Hajduczkowi", „Smutnej Iwonce", „Lucynie", „Bogdzie". „Złotemu Jabłku" dużo przyjemności w Rzeszowie, gdyż miasto to znamy z przejazdu do Lwowa, pozdrowienia!

Poza tym pozdrowienia dla „Młodego Orła", „Łowcy Przygód", „Dyktatora", „Smutnego Lutka" i całej „Rodzinki".

„Cisieńko", a może pierwsza do nas napiszesz? Czy w ubiegłym roku byłaś na święcie Gór"?

„Ankę z Kieleckiego" pozdrawiamy i prosimy, aby do nas napisała, gdyż Kielce są nam dobrze znane.

MOŻE W PRZYSZŁOŚCI

„Mogilnianko". Przykro było mi dowiedzieć się, że nie udał Ci się ten przyjazd na nasze wspólne widzenie się, może w przyszłości szczęśliwszy wiatr pogoni Twój rower w drodze do naszej redakcji. Gotowam mu nawet szepnąć miłe słówko, aby tylko chciał Ci sprzyjać w drodze!..

Pozdrawiam Cię b. serdecznie!

„Pell", czy byłeś na zjeździe — motocyklem to nie sprawia nadzwyczajnej trudności. I czy znalazłeś już to swoje wymarzone maleńkie cudo, które nazwać byś mógł... Wiesz, kto pyta.

„Szyderco" — podobasz mi się — chętnie nawiązałabym kontakt. Czy naprawdę lubisz z wszystkiego szydzić, jak mówi pseudo. Może byśmy popróbowali naszych sił na pióro i arkusiki papieru. Pomyśl i napisz.

Wszystkich „Krainiaków" serdecznie pozdrawiam — tych co do mnie piszą, i nie!"

O NAWIĄZANIE KONTAKTU!

„Anula". „Mieszkam aż na kresach wschodnich i to na głuchej wsi (18 klm do stacji) — dlatego ogromnie chciałabym nawiązać szerszy kontakt z „Krainiakami". W rozmowie z nimi zapomnę o tym, że jestem tu sama.

Bardzo proszę, aby któraś z pań członkiń „Krainy" napisała do mnie!

Nie wątpię w to, że napisze do Pani nie jedna, a kilka „Krainianek" i życzę przyjemnej wymiany myśli.

Od siebie pragnę jeszcze dodać, że nie powinna Pani przyjmować listów nieopłaconych, bo to może pociągnąć za sobą przykrości dla Pani.

SKRÓĆ TERMIN!

„Rudi". Jak minie pół roku, odezwiesz się znowu do mnie? Hm, uważam, że to nieco odległe terminy, nawet zwykłe uprzejmościowe listy wymienia się w krótszych odstępach czasu, a cóż dopiero mówić o korespondencji z... „Rodzinką"! Czy nie mam słuszności, Drogi Chłopcze?

Zatem zmień proszę ten zapowiedziany termin i napisz już szybko do nas!

Pozdrawiam Cię miłym uśmiechem!

ZŁOTY DZWONECZEK MA ZŁOTE SERCE

„Złoty Dzwoneczek". Ogromnie Cię lubię. „Złoty Dzwoneczku", tak dużo wyczuwam w Tobie ujmującego wdzięku i tak niezmiernie chętnie słucham tego, co wydzwaniasz mi pilnie i gorliwie. Wierzę, że „Złoty Dzwoneczek" ma też złote serce i umie nim uszczęśliwić różnych smutnych, biednych ludzi.

No, a wiadomość, że jesteś także, acz szczupłą, to jednak silną i wysportowaną panną dopełniła już kielicha mego zadowolenia. Mam ochotę zakrzyknąć na Twoją cześć: Niech żyje!

Oj, bo czas mi mile, ale i niepowrotnie ucieka w pogawędce z Tobą, a przecież, przecież...

Całuję Cię i jazda z komunikatami:

„Pellu", przysyłam Ci moc milusich pozdrowień i radosny uśmiech. Pa!

„Blanko", znam Panią z widzenia, a jeszcze lepiej z opowiadań siostry. Jest Pani milutką! Serdecznie dziękuję za pozdrowienie, przysłane mi przez siostrę moją w przeddzień zjazdu i stokrotnie odwzajemniam. Czy domyśla się Pani kto jestem?

„Maleńka Dzidzi". Pięknie jest w Wiśle, prawda? Znam tę miejscowość, bo byłam tam. Przyjm serdeczności!

„Czarny Hajduczkku", jesteś morową dziewczyną — pozdrawiam!

„Mała Konwalijko", „Maleńka Reri", „Kalino" „Kropelko leśnej Rosy", „Złote Jabłko", „Romku", „Lawrence", „Kaziku", „Obserwatorze I." „Hr. Ulsen" — przyjmijcie od „Złotego Dzwoneczka" dużo,dużo serdecznych pozdrowień i prośbę, aby ktoś z powyższych skreślił do mnie parę słów."



„Zabłąkany Chłopiec" ma dziwnie skupione i tęskne spojrzenie.

A MOŻE?!...

„Chochlik". Jesteś mały smyk, który koniecznie pragnie mnie rozpieścić — będę w obronie musiała znowu Ci dać burę, jak przed dwoma laty — co?

No, żarty na bok, bo mamy niesłychanie mało czasu, a dużo ważnych krainiackich spraw do załatwienia.

Więc z tych najróżniejszych, Ciebie dotyczy ta, że chciałabym się dowiedzieć, czy otrzymałaś już owe srogie papierzyska, niezbędne do nauki i egzaminu? A może już zdałaś go na dobre? Dobrze by to było!

Pisz, pisz — czekam!

„Tu „Chochlik", który serdecznie pozdrawia całą „Krainkę" i bardzo prosi o kilka słówek od jej sympatyczek i sympatyków.

„Kropelko leśnej rosy", może napiszesz? Oczarował mnie Twój pseudonim.

„Czarny Olku", czy jesteś jeszcze w „Krainie"? Co słychać z Tobą i p. Wallą — chciałabym coś o Was usłyszeć, byłam tak niedaleko Łowicza w Kawenczynie Nowym.

I jeszcze o jednej osóbce chciałabym coś usłyszeć, a to od „Czarnego Hajduczka."

RADZĘ CI!

„Roześmiane Oczy". Radzę Ci przepędzić swą nieśmiałość na góry i lasy i być dziewczyną naprawdę pogodną, swobodną i kochaną. Pa!

Komunikaty:

„Rodzinko! Czy będzie ktoś, kto zwróci na mnie uwagę? Wszystkich pozdrawiam.

Przeczytałam Twój apel „Smutna René", i ująłmnie za serce. Oczy mam ciemno-niebieskie, nie tak, jak Pani pisze, jasne jak niebo, pragnę jednak dać dużo radości. Daj proszę adres swój p. Zofii, a zaraz Ci odpiszę. Czekam i serdecznie pozdrawiam.

„Nieszczęśliwa Nisiunia." Czy znam Panią? Przypomina mi Pani kogoś z G. nazwiskiem R. Pozdrawiam!"

CIESZĘ SIĘ!

„Kochane Dziewczątko". Nie nazywam Cię marnotrawną córką, lecz cieszę się z Twego powrotu do „Krainy" i zapewnienia, że: „Kto raz Panią i „Rodzinkę" poznał, ten już przepadł. Ten już pamiętać musi. Bezinteresowna dobroć i życzliwość oraz kojące ból i smutek, kochane słowa związują „Krainiaków" z ich najlepszą „Mateczką" na zawsze!"

Oby tak było w istocie, a byłabym zadowolona!

Pozdrawiam Cię i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Pozdrawiam „Heńka", „Henry"ego" „Włada", „Podchorążego z Grudziądza", „Artylerzystę z Gniezna!" Napiszcie proszę! Chętnie nawiązałabym też korespondencję z „Waldemirą", „Białą Uajali" i „Ryśka D." lecz nie wiem, jak Panie te przyjmą mój apel?

Sama jestem młodziutką blondyneczką, po maturze i mieszkam obecnie na wsi u Rodziców. Kto ciekawy bliższych szczegółów, niech napisze, a ja odpowiem na pewno!

„Słodka Dary" — znamy się. Przyjm ucałowania. Również pozdrowienia dla „Erosa", „K. Junoszyca" i „Wesołego Bronka."

PISZ DUŻO!

„La Argentina". Przyjmuję Cię z przyjemnością do naszego grona i ślę życzenie, abyś się z nami czuła jak najlepiej!

Pisz dużo i często! Pa!

„Halo, „Krainiacy"! Kto by znalazł we mnie pokrewną duszę i patrzył na świat przez różowe szkła niech pisze pod adres: Włochy k. W-wy, poste-restante dla „La Argentiny".

Bardzo chętnie nawiązałabym korespondencję z „Władem" z Poznania i p. K. Junoszycem. Pozdrawiam!"

OCENIMY PRZYMIOTY!

„Puella". Ależ naturalnie, że zechce przyjąć do „Rodzinki" dziewczę ze wsi. A cóż to za ważna przeszkoda — powiedz mi!

Najważniejsze jest to, że jesteś miłą i szczerą — „Krainiacy" będą umieli ocenić należycie te przymioty.

Pozdrawiam Cię serdecznie i oczekuję następnego listu!

PRZY OKAZJI

„Żymełka". Nie szkodzi, Kochanie, że nie mogłaś być wówczas z nami dłużej — przy okazji powetujesz to sobie stokrotnie.

Pozdrawiam Cię mile i zamieszczam komunikaty:

„Panią z Dziedzic, od której otrzymałam pocztówkę, proszę o przysłanie mi swego prawdziwego adresu, gdyż podpisu nie mogłam odczytać. Chętnie z Panią nawiążę korespondencję. Dla p. „Welza" z Lwowa miłe pozdrowienie. Czy Pan przeczytał odpowiedź?

„Smutna Kazieńko", gdzie teraz przebywasz i kiedy wróciłaś ze Żnina?

Dla „Smutnej Ślązaczki" uściski. Dziękuję Ci, Kochanie, za miły liścik.

„Szukający Podchorąży". Zdaje się, że troszkę się znamy z dn. 11. 9. Życzę Panu dużo przyjemności i zawsze tej samej pogody ducha, — jak wtenczas. Tymczasem pozdrawiam. Wszystkich z „Krainy" serdeczności!"

NOWY SYMPATYK

„Buffalo — Bill". Przyjmuję Pana do „Krainy" i dopełniam oficjalnej prezentacji:

Nowy nasz sympatyk jest Amerykaninem, a raczej Polakiem urodzonym w Ameryce. Jego wygląd zewnętrzny też się podobno identyfikuje z prawdziwym american - boy. Jest wysoki, wysportowany, ma jasno blond włosy i niebieskie oczy. I jeszcze coś! Nie lubi się nudzić!

Bądźcie dla niego, jak dla wszystkich, mili.

CZEKAM!

„Gloria". Przyjmuję Cię do „Krainy", Dziecino, i życzę, abyś się w niej dobrze czuła.

Pozdrawiam Cię serdecznie i czekam na następny list!

„Pozdrawiam „Brzydulę", „Słodką Dary", „Włada" i proszę o listy!

Całej „Krainie" serdeczności i usilną prośbę o pamięć!

PODAJ ADRES!

„Hys". Przyjmę Cię do „Krainy", ale najpierw musisz mi podać swój adres.

Pozdrawiam i Czekam!



CZEKAM NA ODPOWIEDŹ!

„Jadwiga Limba". Przyjmuję Panią do grona wyznawców mojej „Teczki" i z przyjemnością zaznaczam, że spodziewam się iż stosunek nasz będzie bardzo przyjazny, zwłaszcza, jeżeli zawsze będzie mi Pani przysyłała tak wcale udatne prace, jak nowela „W wigilię św. Andrzeja."

Nieźle, nieźle ją Pani napisała — skłonny byłbym ją nawet zatrzymać do przedrukowania w następnym roku — co Pani na to? Wierszyki ocenię później.

Pozdrawiam i czekam na odpowiedź!

KASZTANY

Lubię samotne spacery,
tą kasztanową aleją — — —
W jesiennym słońcu szpalery
odblaskiem złota się śmieją...
  Pada deszcz złocistych liści,
  wiatr je daleko gdzieś niesie —
  (sen o szczęściu się nie ziścił)...
  już dojrzał smutek — już jesień...
Packają o ziemię kasztany —
kuleczki brązowo-złote...
(kolor twych oczu kochanych)
— poprzez jesienną tęsknotę...
  Nazbieram garście pełniutkie
  tych kulek aksamitnych — — —
  gdy będę sama ze smutkiem,
  żeby mi tobą zakwitły...
Lubię samotne spacery,
tą kasztanową aleją — — —
W jesiennym słońcu szpalery
odblaskiem złota się śmieją...

Jadwiga Limba.

W KSIĘŻYCOWĄ NOC...

Ty śpisz — ja... nie mogę,
Przed sobą widzę drogi
  Pas biały.
Jak cię sen słodko tuli,
Jakby skrzydła matuli
  Czuwały.
Księżyc płonie na niebie,
I leciuchno pieści ciebie
  Blaskami.
I w biel twojej pościeli,
Z okienka blask się ścieli
  Płatami.
Ty wiesz, że w noc tak szklistą
Człek się budzi — idealistą
  I śle modły.
I oto przychodzi godzina
I o świecie się zapomina,
  Że podły.

„Przeklęta Iwa".

MOJE KRESY

Wskażcie mi taką krainę, jak moja
Gdzie nad polami cichy wietrzyk wionie...
Gdzie modlitewnie szepcą rankiem błonie...
Gdzie tak srebrzyście drga woda u zdroju!
  Tam stropem nieba świat się zda pokryty
  A lasy toną w dalekim tumanie —
  Tam jeśli westchnąć, to one wołanie
  Leci w strop nieba gwiazdami nabity.
Wskażcie mi taką krainę na świecie,
Gdzie bym odnaleźć mogła ścieżki dawne...
I myśli wszystkie, smutne i zabawne...
O! Nie znajdziecie nic takiego przecie!
  I próżnym trudem było by losów prosić,
  By gdzieś tak było uroczo, jak u mnie...
  Trzeba te myśli, co się cisną tłumnie
  I tę wygnańczą dolę cicho znosić...

St. Roslewska.

DO DRUKU WYBRAŁEM JEDNĄ NOWELĘ

„Henry". Mam tu kilka prac Twoich oraz kilka nadesłanych wraz z nimi listów. Przykro mi, ale muszę Ci oznajmić, że z nowel Twych, oprócz zatytułowanej „Żelaznym Szlakiem", do druku nie nadaje się żadna. „Żelaznym Szlakiem" była wydrukowana w „Ilustrowanym Kurierze Pałuckim", a inne, to znaczy: „Jedna z tysiąca", „Spotkanie w Puszczykowie", „Zaczęło się w Algierze" są więcej, jak mierne! I to zarówno te nadesłane mi najpierw, jak i późniejsze przeróbki.

Z wierszy pt. „Jesienią", „Nie zapomnę"... „Ty możesz" i „Tak dobrze mi!" do druku też nie zaklasyfikowałem żadnego. Nie ma w nich rytmu, a i rym jest nieświetny. Widać, że je pisałeś po prostu na kolanie, bez większego zastanowienia i trudu.

Ależ ja absolutnie nie mam zamiaru „uchylać przyłbicy" i można, sądzę, uznać to moje życzenie. Niech i mnie wolno będzie mieć swoje „widzi mi się"!

Fotografie Twoje widziałem — dobrze wyglądasz na obu.

Żywą przyjemność sprawiły mi Twoje słowa uznania dla naszego tygodnika — dziękuję!

Jeżeli chodzi o recepty na dobry proszek do prania, donoszę Ci, że niestety nic Ci w tej sprawie poradzić nie mogę, nie jestem chemikiem i nie znam się na tych rzeczach.

Racz zauważyć, że moja „Teczka" znacznie więcej miejsca zajmuje w „Krainie" niż dawniej, a mimo to nie mogę się uporać z nawałem nadsyłanych mi prac do oceny. Mam jednak nadzieję, że wkrótce uda mi się zlikwidować zaległości.

Dlaczego chcesz tak często pokazywać swoje oblicze „Krainiakom", przecież niedawno p. Zofia zamieściła Twoją fotografię która podobała się czytelnikom — nie bądź próżny, Drogi Chłopcze, bo to nie przystoi mężczyźnie.

Przekazałem p. Zofii Twoje pozdrowienia i mam Ci wyrazić wzajemne, co niniejszym czynię.

A teraz przesyłam Ci przyjazny uścisk dłoni i zamieszczam komunikaty:

„Helutka W. — Poznań". Ślę Ci, Helu, dobrych życzeń moc i najsympatyczniejszy uśmiech. Czy pamiętasz jeszcze czerwone róże? — Bo ja pamiętam, pełen tęsknoty...

„Czarnego Hajduczka", p. Teresę O. z Rosnówka, P. Stele z Rogoźna, i „Zbijobruka Poznańskiego", — bardzo sedecznie pozdrawiam.

„Złote Słoneczko" — czy bywasz tego roku u „George'a" w Poznaniu?

„Amazonko" — co obecnie porabiasz? Zapewne gniewałaś się na mnie, tak jak i zresztą słusznie „Złote Słoneczko", że nie napisałem do Niej, ale ze mnie to taki skończony zimny drań, przyznaję!"

„Kalina". Odwzajemniam bardzo serdecznie pozdrowienia.

„Młody Orle". Łobuzie jeden! Za zdradę „Café Grand Restaurant" (na łamach „Krainki") uszy Tobie oberwę!! — —

„Czarny Hajduczku"! Czy gniewasz się na mnie? Pozdrowienia śle b. serdeczne!

P. Teresa O. Rosnówko. Jak tam z przyrzeczonym „fotosem"? a zdrowie Pani? Pozdrawiam i...czekam na „fotos"!

JEST ISKRA!

„Irusia z Wołynia". W pracach Pani, zarówno w wierszykach, jak nowelach jest ta niezbędna iskra talentu, ale... ale opracowanie, wygładzenie, wyszlifowanie, że tak powiem, całości dużo jeszcze pozostawia do życzenia. — Z drugiej strony wiem, że Pani może dać prace dobre i dlatego te, które tu mam, odrzucam, a będę czekał na następne.

Pozdrawiam serdecznie i zachęcam do gorliwego wypróbowania swych sił na polu literackim.

CISZA

Jestem sama... Wszyscy odeszli już ludzie,
Którzy mówili głośno i tu byli ze mną.
Jako zmęczony żniwiarz po upalnym trudzie
Odpoczywa ma dusza, gdy robi się ciemno.

W ciszy każdego wieczora Wielka Mądrość Boża
Otwiera Księgę Życia przed każdym człowiekiem.
Prostuje jego ścieżki i jego bezdroża
Boskości ściegiem dalekim.

Z własną rozmawiasz duszą w takiej chwili,
Kornie przechodząc w myśli rachunek
  sumienia
Odpuszczasz winy wszystkim, którzy cię zranili,
Bo danym ci było ujrzeć krainę zbawienia.

„To - ja".

Ale zwykle z początku nie można się niestety zdobyć na nie...

— Trudno. Taką już mamy buntującą się wiecznie naturę — roześmiał się ksiądz.

— Ale — ale, widzę tu panią już drugi raz, a bez męża? — Proszę mi nie brać za złe, że ja tak od razu, ale chętnie znów odprawiało by się mszę przy dobrej muzyce... Bo mój organista to ma zdolności... ale do katarynki — mówił staruszek z humorem.

— Niestety księże proboszczu — tego roku już nie... Właśnie muzyka zabrała męża... Jakieś artystyczne sprawy pognały go za granicę.

Luta spuściła oczy. — Nie miała zamiaru kłamać. — Ale też nie powie nic takiego, co by może spowodowało księdza do powiedzenia jakiego niepochlebnego słowa o Andrzeju...

— O, to pani biedna! Tęskni się pewnie, liczy godziny... — żartował ksiądz. — Chyba, że są dzieci?

— Nie ma, księże proboszczu — uśmiechnęła się Luta.

— A, to w takim razie trzeba się koniecznie zająć jakąś poważniejszą pracą! Koniecznie! — Ksiądz podniósł z udaną powagą, wskazujący palec do góry.

— To gorzej, proszę księdza — bo trzeba by jakąś umysłową — prawda? A ja nic właściwie nie umiem... — Luta rozłożyła bezradnie ręce, patrząc wesołymi oczyma na miłego staruszka.

— A, to pisać... — nie namyślał się ksiądz długo nad radą. — Jakieś pamiętniki... czy jak się to tam nazywa?

— Pisać?

Luta otwarła szeroko, jakby zbudzone ze snu oczy. Serce zadrgało silnie raz i drugi...

— Piękny czas Bóg daje tego roku — zmienił staruszek temat widząc, że jakiś dziwny skutek wywarły jego słowa.

— O! Widzi pani? — wskazał drżącą, pomarszczoną ręką na lipy. — Jeszcze połowy czerwca nie ma, a już na lipach prawie dojrzały kwiat... A jak się to te pracowite, boże stworzonka uwijają! W czas będą pełne ule tego roku...

— W czas — powtórzyła Luta niebardzo wiedząc, co mówi.

— No, to pójdziemy do kościoła — zrezygnował z dalszej rozmowy proboszcz. Wstali z laweczki idąc ku kościołowi, który już wołał z drewnianej wieżyczki cieniutkim głosem dzwonka.

ROZDZIAŁ XXXIV.

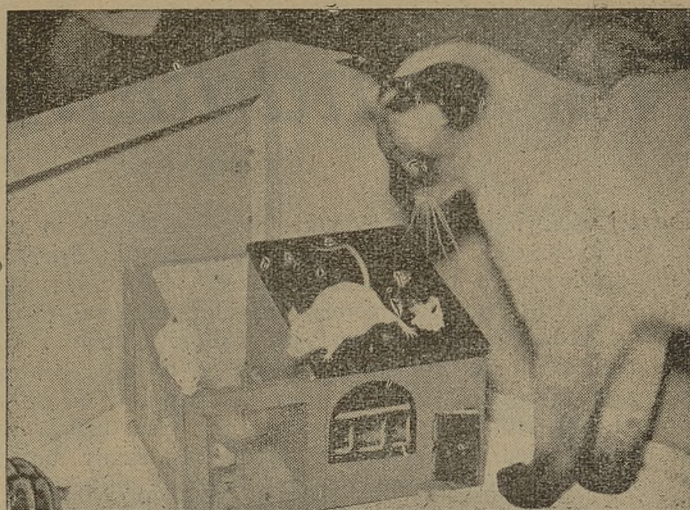
— Żegnanie się, choćby tylko z czymś, to zawsze przykry moment — mówiła Luta, stojąc nad wielką walizą.

Basia wyjmowała z otwartej szeroko szafy suknie, składając je równiutko, systematycznie.

— Wiesz Basiu — poczęła znów Luta — żal mi tego spokoju, jaki tu miałam u ciebie, tego widoku z okna i słońca na twardej dunajcowej „plaży".

— Mnie znów niczego nie żal — odezwała się Basia — tylko złość mię bierze na to wieczne pakowanie! I to cztery razy do roku taka okropna robota! — Na wakacje — z wakacyj — na święta — ze świąt — unosiła się Basia.

— Żeby tylko pogoda była w czasie wakacyj — zatroskała się Luta. Ja tu wykorzystałam każdy dzień, ale ty mimo takich cudownych dni — nic.



Przyjaźń kota z myszką z początku nie wzbudza pełnego zaufania u tej ostatniej.

— Będę używała wywczasów w domu. Przecież właściwie lato się jeszcze nie zaczęło.

— Ale w pogodzie zaczyna się coś psuć — odpowiedziała Luta.

Rzeczywiście piękna pogoda, jaką darzyła wiosenna pora ziemię, skończyła się właśnie wtedy, gdy jej najbardziej było potrzeba. Bowiem pełne dorośniętych już prawie ziarn, kłosy, prosiły się jeno o pozłotę słoneczną.

Nie miały tego jednak doczekać...

Szare, deszczowe chmury poczęły sunąć od zachodu. Szły i szły, przewalały się nisko nad posmutniałą nagle ziemią, na razie nieprzyjemne tylko tym, że zasłaniały słońce.

Dni budziły się przygnębione, spodziewające się przez cały czas trwania, że może świecąca kula słońca zdoła przedrzeć mokre zwały lecących chmur...

I czasem przedzierała się, ale wnet zwycięska armia brzydkich, szarych płacht zwalczała złote światło....

— — — — — —

— Czy nie doczekamy się nigdy takiej, choć dwa dni razem trwającej, pogody? — skarżyła się Basia, patrząc przez okno na mokry, jakby skulony z zimna ogród. — Pada i pada... czas leci... i nawet nie będzie się człowiekowi zdawało, że miał wakacje...

— Nie narzekaj, siostro! Nie narzekaj... — pocieszała ją Pita. — Taki „reymontowski kapuśniaczek" jeszcze nie najgorszy. Można włożyć deszczowce, wziąć parasol i iść choćby na „Zamczysko". Chcesz? — to się poświęcę i pójdę z tobą.

— Dobrze — zgodziła się niby Basia. — Ale Athos biedaczysko też się nudzi przez ten deszcz, więc...

— Więc nie pójdziemy nigdzie — przerwała Pita. Będziemy się razem z nim nudzić w domu... — No, jeszcze mi tego potrzeba, abyś się znów jak w tamtegoroczne wakacje bawiła moim kosztem...

— Może tego roku nie natrafiłoby twoje ucho na taką figlarną gałązkę? — perswadowała Basia najpoważniejszym głosem.

— Nie wiadomo... — odpowiedziała równie poważnie Pita.

Przy drugim oknie też słychać rozmowę; rozmawiała Luta z Bronią Ciembronowiczówną.

— Wiesz, Luto — mówi kuzynka z twarzą dziwnie do japońskiej gejszy podobną — podziwiałam i podziwiam twój spokój, po takiej miłości, jaką widziałam z twojej strony...

— Widzisz, Broniu — poczęła Luta zatapiając wzrok w ociekających deszczem liściach — człowiek, to zlepek wszelkich możliwości. Twierdzimy w pewnej chwili niezmiernie stanowczo, że znamy siebie bardzo dobrze. Że gdyby tak, a tak się stało, to postąpimy na pewno tak, a tak... A tymczasem w danej chwili postępujemy wcale nie tak, tylko całkiem inaczej. Ja jednego razu — mówiła dalej Luta — gdy Andrzej mnie zapytał, co bym zrobiła, gdyby on odjechał na zawsze, odpowiedziałam bez chwili namysłu, że odebrałabym sobie życie. I nie powiedziałam tego tak sobie, — nie! Wierzyłam w to głęboko! — A przecież, gdy przyszło to, co uważałam wówczas za żart ze strony Andrzeja, nie zrobiłam sobie nic, przeżyłam wszystko i doszło nawet do tego, że jest mi nieźle...

— Bardzo dobrą masz naturę, Luto.

— O, nie myśl znów, że mi to tak łatwo przyszło. Szarpałam się i męczyłam dość długo... A po tym, gdy przycichł jeden ból, opanował serce drugi, czyhający już na to od dawna... O, ileż to razy zapytywałam Boga, jaki cel miał w tym, aby mi dać życie! Ileż razy zazdrościłam serdecznie nawet takim kobietom, w których domu była wielka nędza, ale które miały przed sobą jakąś wyznaczoną drogę, jakiś cel!

— Bo nie wiesz — mówiła dalej, jakby odpowiadając na pytanie w oczach kuzynki — jaka to męka istnieć z tym przeświadczeniem, że nie jesteś nikomu na nic potrzebną, że lecą godziny, lata, mijają cię ludzie z oczyma zapatrzonymi w swoją własną drogę, a ty nie robisz ani kroku naprzód... Stoisz w miejscu bezradna, choć całą duszą pragnąca takiej samej własnej, do jakiegoś celu prowadzącej, drogi...

Luta ucichła na moment.

— Jednak przeszło i to — podjęła znowu, tylko znacznie cichszym głosem. — I teraz...

— I teraz, Luto?

Przez twarz Luty przewinęła się jakby jasna łuna:

— I teraz... zdaje mi się, że widzę już przed sobą drogę...

— — — — — —

Przyszły mokre, zaszargane błotem końcowe dni czerwca.

(Dokończenie nastąpi)

Dusze na manowcach

POWIEŚĆ

Andrzej wierzył już teraz, jednakże martwiło go to bardzo, że Karol nigdy mu nic nie powiedział o tym stosunku, może chciał powiedzieć przed śmiercią, nawet jakby coś mówił, czego Andrzej już nie mógł zrozumieć, nie zdążył, to prawda, ale prawdą także i to, że na dwa lata już przed tym istniał ten stosunek, a Andrzej nic nie wiedział; dowiaduje się dopiero teraz; syn Karola ma już rok, a Andrzej o tym nic nie wiedział, jakże to bolesne dla niego...

A swoją drogą to dobrze, że jest to dziecko, że jest ta kobieta, kobieta, którą kochał Karol i którą miał poślubić; powinni zamieszkać razem z nim, w jego domu, należy się im to, Andrzeja obowiązkiem jest zaopiekować się nimi; zaproponuje tak Helenie, będzie szczęśliwy, jeżeli zamieszkają razem, nie będzie już się czuł tak samotny, chociaż Helena nie wydaje mu się sympatyczną, pomimo, że tak piękna niezwykle, ale skoro zmarły darzył ją wielką miłością, Andrzej nie może jej odepchnąć od siebie, jeżeli przyszła za słowem pociechy, a może z prośbą o pomoc...

Helena uradowana była propozycją Andrzeja, dziękowała szczerze, gorąco, o, wiedziała przecież, że brat takiego szlachetnego człowieka jakim był Karol Keller nie mógł postąpić inaczej!

Umówili się jeszcze co do terminu przyjazdu, podziękowała znowu, pożegnała się i odeszła.

Andrzej patrzył za nią, kiedy szła korytarzem, wysmukła i zwiewna, szła tak lekko i szybko, w swojej żałobnej szacie i wyglądała jak ciemna zjawa na tle białych ścian...

Bez wątpienia, że jest bardzo piękna, choć oczy jej mają wyraz tak niemiły.

Jakież to szczęście, że Andrzej zobaczy prędko dziecko Karola, jakże pokocha tego chłopczyka, Helena mówiła, że zmarły odnajdywał w nim podobieństwo do małego Andrzeja i nawet nazywał go tym imieniem, a przecież Andrzej jest bardzo podobny do starszego brata, więc zatem dzieciak będzie mu przypominał Karola, ukochany brat jakby znowu powróci do niego, powróci w innej postaci, Karol widziałby w synku małego Andrzeja, a on, będzie widział w nim małego Karolka, jakże pokocha to maleństwo.

Za parę dni Helena przyjechała z synkiem do Ustronia.

Jak Andrzej przewidywał, maleńki Jędruś, uroczy grubas, o mądrych, poważnych oczach, od razu wziął sobie w niepodzielne posiadanie „ujka Drzejka".

Andrzej był uszczęśliwiony — skończyła się jego samotność, już teraz nie będzie bał się powracać do pustego domu, chwile odpoczynku nie będą już zapełnione tylko bolesnym, a wciąż żywym wspomnieniem o zmarłym.

Lecz obecność Heleny nie była tak miła Andrzejowi, jak obecność małego Jędrka.

Nie lubił tej kobiety o rysach ostrych, regularnych, o przenikliwym wyrazie błękitnych oczu. W oczach tych dużych, pięknych, ocienionych długimi ciemnymi rzęsami, tail się wyraz jakiejś wrogości, oziębłości, jakiegoś rozważnego okrucieństwa.

Był przekonany, że jeżeli czyjeś oczy mają tak nieprzyjemny wyraz, pomimo, że są bardzo piękne, właściciel takich oczu nie może być człowiekiem przeciętnie dobrym, niezawodnie, jakieś złe instynkty tkwią gdzieś w głębi jego duszy, może zresztą, nie przyczyni nigdy nikomu nic złego, ale wzgardliwa obojętność, malująca się w jego oczach ma w sobie coś odpychającego.

Andrzej obserwował oczy ludzkie, już w dzieciństwie zastanawiał nieraz starszego brata takim na przykład powiedzeniem: „Nie lubię tego pana, bo jego oczy są „lodowate", albo „kłujące", „mają w sobie igiełki"; potem z biegiem lat, na podstawie pewnych spostrzeżeń i obserwacyj doszedł do wniosku, że jego teoria, iż po wyrazie oczu można sądzić o charakterze człowieka, o jego duszy, potwierdza się niejednokrotnie z całą pewnością.

Często przypominał sobie pewne zdarzenie z dawnych lat; było to akurat przed otrzymaniem spadku; nikt, ani oni nie przypuszczali, że będą prędko tak bajecznie bogaci, odwiedzał ich wtedy pewien żyd, wstrętny stary żyd. Kupował niektóre rzeczy. Andrzej bał się tego handlarza, bał się jego chciwych, zachłannych oczu, oczu, w których zamiast tęczówki są „krążki złota", a zamiast źrenicy, zwykłej ludzkiej źrenicy, tkwi „bakcyl chciwości", „bakcyl gorączki zysku".

Żyd nie był zbyt grzeczny i uprzejmy, bo byli biedni, ale doboduszny Karol nie zwracał na to uwagi; zresztą, był zawsze tak zajęty, zapracowany, że nie miał czasu na to, aby przejmować się brakiem uprzejmości starego żydowiny. Człowiek ten bywał dość często potrzebny, ale Andrzej nienawidził obrzydliwego, śmierdzącego żyda, nienawidził za chciwość wypisaną w oczach, nienawidził za brak grzeczności do biednych ludzi — i nagle wtedy otrzymali zawiadomienie o spadku. Dowiedzieli się o tym prędko wszyscy znajomi, sąsiedzi, lecz najpierw przyleciał winszować stary żyd; taki zrobił się grzeczny, słodziutki, a chciwość malująca się w jego oczach spotęgowała się stokrotnie i zajaśniała w całym blasku.

Andrzej nie mógł i teraz przypomnieć bez uczucia obrzydzenia tego wyrazu chciwych oczu.

Widział potem nieraz, że najczęściej, właśnie żydzi miewają ten wyraz oczu, u innych narodowości spotyka się rzadziej.

Zato obserwował inne wyrazy, na przykład: wyraz twardy, nieustępliwy, zauważał często u ludzi z silnym charakterem, z niezłomną wolą, wytrwale dążących do zamierzonego celu, nie oglądających się na przeszkody; wyraz chwiejny, niepewny, oczy zbyt żywe miewali ludzie lekkomyślni, niemyślący o przyszłości, żyjący dniem dzisiejszym; oczyma poważnymi, spokojnymi, najczęściej byli obdarzeni lekarze, widocznie ten zawód przyczynia się do pogłębienia wyrazu; tak, tak, różne bywają wyrazy oczu: dobre, złe, zimne, gorące, pieszczotliwe, lekkomyślne, chciwe, nijakie, co to może najczęściej zdarza się, po prostu że człowiek ma oczy, które nic nie wyrażają, takie sobie „organa wzroku" i już, oczy i na tym koniec, próżno się tam dopatrywać jakiegoś wyrazu!

Lecz takich oczu, jak oczy Heleny, Andrzej jeszcze nie spotykał: nie było w nich nic z chciwości, nic z dobroci, nic z lekkomyślności, nic z zamyślenia, były mądre i poważne, ale zarazem tak zimne, nieustępliwe, że aż lęk ogarniał, jeżeli patrzyło się w nie długo.

Czym więcej Andrzej obserwował Helenę, tym więcej był pewny, że w tym pięk-



Przedstawiciele rządu Rzeszy Niemieckiej wzięli udział w przyjęciu, urządzonym przez poselstwo Południowej Afryki na cześć przybyłego stamtąd ministra Oswalda Pirowa

nym ciele ukrywa się serce złe, a brak mu miękkiej dobroci, subtelności, właściwej każdej kobiecie przeciętnej. Coprawda, w mowie, w ruchach, w całym sposobie bycia Helena była pełna uroku, wykwintnej, przyciągającej kobiecości, lecz była to tylko jej zewnętrzna powłoka.

Niezawodnie Helena nie była podobna do tych kobiet, które znał dotychczas, może była zła, niedobra, ale wyróżniająca się spośród innych, niepodobna, odmienna; w swoim okrucieństwie, zapewne, że nie była pospolita.

Zresztą na razie Helena niczym nie potwierdziła przypuszczeń Andrzeja, było to więc tylko wrażenie, oparte na tak niepewnym spostrzeżeniu, jak wyraz oczu!

A jednak Andrzej tak bardzo nie mijał się z prawdą w tych swoich przypuszczeniach.

Helena była rzeczywiście naturą skomplikowaną, wyrafinowaną, nie wnikającą nigdy w przeżycia innych, a interesująca się tylko swoim „ja".

Nigdy nie była brutalnie zła w słowach i czynach zewnętrznych i nigdy nie skrzywdziła nikogo w sposób widoczny i jaskrawy, lecz potajemnie a świadomie umiała wnieść nieszczęście w czyjeś życie, z osobliwą jakąś bezwzględnością i okrucieństwem, a potem w skrytości upajała się i triumfowała nad tym, że potrafiła swoim wpływem zburzyć czyjś spokój.

Była przedziwnie piękna, pięknością oryginalną, niezwykłą: rysy miała prawidłowe, może nieco za ostre w rysunku, ale tak harmonijne, subtelne, jak rzadko; cera delikatnie różowa, przezroczysta, przecudne jasne włosy układały się miękkimi falami na dumnie osadzonej głowie.

Głos cichy, matowy, o brzmieniu kojącym, łagodnym, stanowił dziwną i niepokojącą sprzeczność z królewską powierzchownością.

I właśnie tym skojarzeniem — odpychającym wyrazem oczu, całą wzniosłością i odrębnością swojej urody, a pieszczotliwym brzmieniem łagodnego głosu, umiała Helena doprowadzać najzimniejszych zmysłowo mężczyzn do szału. Każdy, kto ją poznał bliżej, kto z nią więcej obcował, pragnął ją posiąść, mieć ją dla siebie fizycznie i duchowo, aby rozpoznać i zgłębić jej istotną naturę, aby dociec najtajniejszych myśli, aby wydrzeć z duszy wszystkie pragnienia i chęci. Każdy z jej kochanków był pewny, że wreszcie zrozumie jej rzeczywiste oblicze; jakby wystarczyło posiadać kobietę, a nawet ją kochać do szaleństwa, aby znać jej prawdziwą jaźń!

Helena nie zmieniała się powierzchownie, zawsze wyglądała młodzieńczo i uroczo, nigdy nie używała żadnych kosmetyków, uroda jej jaśniała i tak zawsze wiosenną świeżością i zwracała powszechną uwagę.

Kiedy poznała Karola miała około 40 lat, a wyglądała na dwadzieścia, życie jak gdyby nie tknęło jej czystych rysów, a przecież przecierpiała i zniosła niejedno, więc dlaczego czas, jednakowo sprawiedliwy dla wszystkich, nie zostawił na jej pięknej twarzy moich zimnych, nieuniknionych pocałunków; może żadne przeżycia, cierpienia, nigdy jej nie wzruszały na tyle, aby to na powierzchowności odbiło się w sposób wyraźny?

A może była tak nieczuła, że nic nie mogło wstrząsnąć jej duszą?



W okresie przedświątecznym okna wystawowe paryskich magazynów stanowią nieodparty magnes dla dzieci

Ci, którzy sądzili, że ją dobrze poznali, niejednokrotnie zadawali sobie to pytanie, i nigdy nie znajdowali na nie odpowiedzi, bo właśnie kiedy zdawało się im, że już mogą stwierdzić z całą pewnością zupełną obojętność, zupełny brak wzruszeń tej zagadkowej natury, wtedy raptem zauważali jakiś szczegół, jakiś drobny na pozór fakt, który całkowicie obalał ich poprzednie twierdzenia, i świadczył o utajonym i niezwykłym żarze uczuć, tkwiącym pod powłoką pogardliwej oziębłości.

Lecz naprawdę Helena była nieskończenie obojętna na wszystko, oprócz jednego pragnienia. Chciała tylko i umiała upozorować swoje postępowanie w ten sposób, aby zaciekawić swoją tajemniczością te osoby, na uwadze i względach których jej zależało.

Tym wyjątkowym pragnieniem, utajoną i ciągłą chęcią Heleny, na którą jedynie znajdowała oddźwięki wzruszeń w swej duszy, było nieustanne i przemożne dążenie do tego, aby ludzi wybitnych, wyróżniających się czymś, kroczących prostą drogą do wyższych celów, przyciągnąć czarem swojej urody, omotać, zniewolić pieszczotą głosu, a potem zepchnąć na dno nędzy moralnej, oczernić w oczach tłumu, doprowadzić do samoponiżenia, do wyrzeczenia się wszystkiego, co dotąd było radością i szczęściem życia — wtedy triumfowała, a nie zawiodła się prawie nigdy.

A wszystkiego tego umiała dokonać tak skrycie, tak zręcznie, że często nawet jej nie podejrzewano. Nie lubiła, aby mówiono o niej zbyt dużo i zawsze umiała usunąć się na czas w cień.

Upajała się swoją władzą, swoją potęgą kobiecości!

Kiedy człowiek jakiś wybijał się na czoło społeczeństwa, kiedy widziano w nim kogoś, kto swoim wpływem, swoją energią potrafi zniszczyć niedomagania w państwie, szkodliwe fermenty niezadowolenia wśród ludności, potrafi wszystko tak zarządzić, przekonać kogo trzeba, aby działo się coraz pomyślniej, aby życie nabrało barw żywszych, jaśniejszych — Helena myślała z dziwną tajemną radością: „Czekajcie, nie cieszcie się, nie jest tak wielki, nie jest tak niezłomny, jak wam się wydaje. Ja złamię jego siłę moralną i zaniecha wszystkich swoich planów, porzuci swoją pracę".

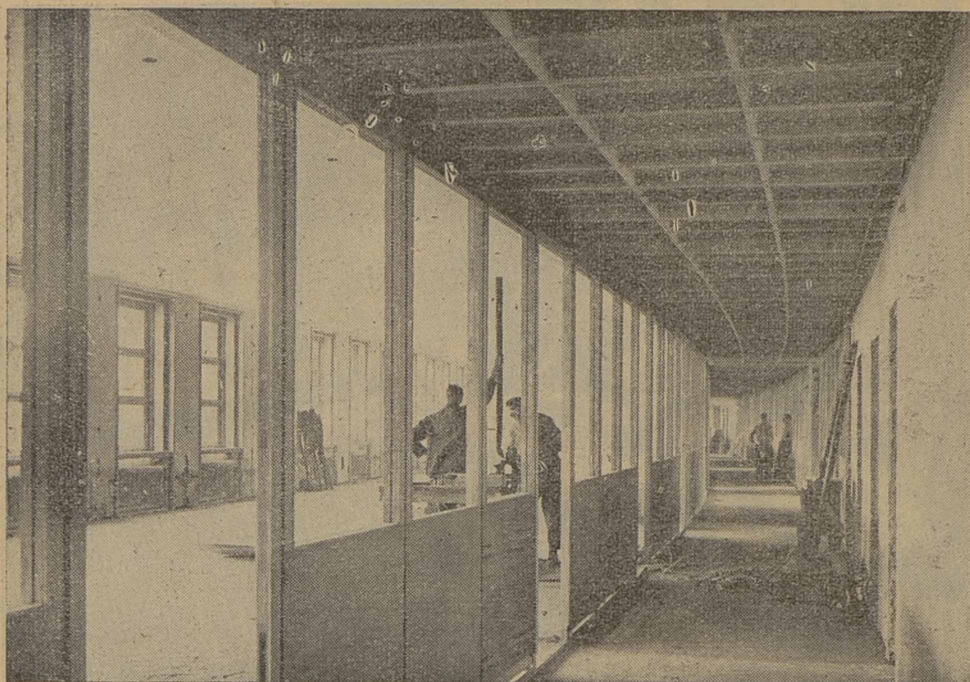
I rzeczywiście tak zawsze stawało się, jak pragnęła, bo umiała dzięki stosunkom, świetnej znajomości języków, a przede wszystkim dzięki piękności wśliznąć się wszędzie tam, gdzie chciała.

Była dla swojej wyznaczonej ofiary tak miękka, tak tkliwa, przyciągająca i odpychająca jednocześnie, że trudno było jej oprzeć się. Taki niewysłowiony urok emanował z całej jej postaci. Spojrzenia pięknych oczu o blasku zimno-niebieskim w połączeniu z aksamitnym, pieściwym głosem, zdawało się zapowiadać tak wiele, dla tego, kto ją posiądzie, że trzeba było niezwykłego hartu woli, aby nie dać się opanować.

A takich mocnych ludzi Helena spotykała nieczęsto i dlatego przeważnie osiągała zamierzony cel; i nigdy nawet nie przypuszczano, co wpłynęło na zmianę postanowień takiej lub innej wybitnej jednostki.

Raz zresztą, kiedy obradowała w Genewie konferencja pokojowa, a przewodniczący tej konferencji i przedstawiciel Francji, Clermont, uczony — publicysta, którego współpraca była wprost niezastąpiona w wynikach obrad, zrzekł się nagle swego odpowiedzialnego stanowiska i wyjechał, porzucając wszystko, ku zdumieniu całej opinii publicznej. Kiedy zaczęto w związku z tym wymieniać nazwisko Heleny — wezwał ją do siebie pewien wysoki dostojnik kościoła; sądził, że zgromi surowo, doprowadzi do poczucia winy kobietę, która do ważnych spraw światowych wniosła swą „szatańską kobiecość" i zepchnęła z obranej drogi człowieka, tak oddanego społeczeństwu.

Lecz kiedy weszła taka spokojna, chłodna, z dumnie podniesioną głową — dostojnik od razu poczuł się zmieszany i nie-



W Berlinie kończy się prace przy budowie nowego gmachu Banku Państwowego.

pewny, a kiedy stanowczo zaprzeczyła pogłoskom i spojrzała pogardliwymi zimnymi oczyma, zmieszał się ostatecznie i zaczął przepraszać.

Często potem wielce świątobliwy dostojnik kościoła przypominał sobie te nieprzystępne oczy, a w uszach brzmiał mu, cichy, łagodny głos „szatańskiej kobiety".

Po za tym wypadkiem nigdy nie wymieniano więcej jej nazwiska i tylko dziwiono się zawsze, dlaczego taki, albo inny człowiek i to zwykle jakaś jednostka wybitna, szlachetna, zmienia się nagle, jakby pod wpływem jakiejś czarodziejskiej metamorfozy i porzuca wszystko, co dotąd było jego dążeniem.

A Helena upajała się w skrytości zdziwieniem tłumu, bawiła ją ta gra. Jaki miała w tym cel? Może pierwszy triumf nad jakąś męską silną duszą tak na nią podziałał i dalej już brnęła w to i tak się cieszyła tym?

Nie miała w każdym razie na względzie korzyści materialnych, bo wszechstronnie wykształcona, zawsze potrafiła znaleźć pracę i zarobić dostatecznie na życie i nic nigdy nie przyjmowała od swoich kochanków, nawet klejnotów, a zresztą nie była zbyt wymagająca — ubierała się przeważnie dość skromnie, była tak czarująca, tak uwodzicielsko piękna, że nie potrzebowała żadnych drogocennych strojów, aby zadziwić i olśnić swoją urodą.

Kiedyś przeczytała opis słynnych szpitali doktora Karola Kellera, światowej sławy uczonego.

Szpitale te były zbudowane w majątku Kellera w Ustroniu. Majątek dawał milionowe dochody, pomimo, że w szpitalach przebywało stale zupełnie bezpłatnie kilka tysięcy chorych i budowano coraz to nowe budynki.

Helena dobrze pamiętała, jak to przed dziesięciu laty cały świat lekarski, a także świat biedoty, był zelektryzowany wiadomością, że doktór Karol Keller buduje w swoim majątku wzorowe szpitale dla biedaków.

Pamiętała także wrzawę, jaka powstała z tego powodu również wśród arystokracji finansjery, bo Keller w ulotkach pełnych ironii i sarkazmu, piętnował możnych tego świata, którzy mając wszystkiego pod dostatkiem dla siebie, głoszą czcze frazesy o swoim patriotyźmie, o swoim umiłowaniu ojczyzny, a nie pomyśleli dotąd o tym, by ją podnieść w czynie, ulepszając byt obywateli, troszcząc się o zdrowie narodu.

Rzucał wezwanie całemu światu, biorąc się z żelazną energią do budowy swego dzieła.

Po dziesięciu latach rozwinęło się ono wspaniale, a biedacy z uwielbieniem wymieniali imię Kellera.

Helena od dawna już myślała, że zdobycie takiego człowieka i zniszczenie jego dzieła będzie dla niej ukoronowaniem triumfów. Czekała, aż jego sława, sława jego imienia, jako uczonego i sława jego jako człowieka czynu, dojdzie do szczytu, wtedy ona wtrąci się do tego wzniosłego życia.

Przybyła więc do Ustronia, niby w celu zwiedzenia szpitali.

Udawała, że jest wszystkim nadzwyczaj zachwycona, zainteresowana, a wreszcie zaproponowała swoją współpracę — prawda nie może być pielęgniarką, nie, nie ma zamiłowania do tego zawodu, ale może przysłużyć się miłą rozrywką lżej chorym, śpiewając lub grając.

Karol z początku odniósł się dość sceptycznie do tego projektu, był po prostu zdumiony niezmiernie tą propozycją; piękność Heleny oczarowała go od razu, ale niebardzo jakoś wierzył w jej zdolności artystyczne i do tego wątpił, czy śpiew i muzyka na tyle zachwyci jego chorych: byli to przeważnie ludzie nieszczęśliwi, wykolejeni, a często tak wyczerpani nerwowo, że jednym z warunków ich wyleczenia była absolutna cisza i spokój.

W Ustroniu zresztą, była własna radiowa stacja nadawcza i odbiorcza, w budynkach szpitalnych były zainstalowane doskonałe aparaty, tak, że dla pragnących muzyki nie mogło nigdy jej zabraknąć. Dla amatorów muzyki bezpośredniej, odbywały się koncerty, często z udziałem znakomitości, bo nawet dla największej sławy, było zaszczytem dać koncert w słynnym Ustroniu i otrzymać podziękowanie samego Karola Kellera.

A ci, którzy nie znosili w ogóle żadnej muzyki, czy śpiewu, ludzie z nerwami podrażnionymi przez hałas wielkomiejski, byli lokowani w specjalnie budowanych domach, gdzie nie dochodził żaden szum. Tak, że każdy miał czego pragnął!

A tu raptem, jakaś zupełnie nieznana osoba proponuje siebie jako artystkę. No, no, cóż, zobaczymy. Karol więc zgodził się i Helena zaczęła przyjeżdżać do Ustronia, śpiewać lub grać spragnionym rozrywki.

Wtedy Karol przekonał się, że zbyt pochopnie sądził o talentach Heleny, bo grała i śpiewała po prostu jak artystka najlepszej miary; zapewne gdyby tylko chciała mogłaby być uznaną wszędzie jako pianistka lub śpiewaczka, ale widocznie nie pragnęła sławy.

Rozkoszą i upojeniem było słuchać śpiewu Heleny, jej głosu o tonach miękkich, pieściwych...

Teraz już wszyscy chorzy, nawet ci nerwowcy, przeciwnicy wszelkiej muzyki, czekali z utęsknieniem jej występu.

A najwięcej tęsknił najgłówniejszy lekarz, dyrektor całego zakładu doktor Karol Keller. Tak nieznacznie, podstępem, Helena weszła w jego życie.

Miłość ta była szaleństwem, Karol odgadł i rozpoznał istotną naturę swej kochanki, kiedy cofać się już było za późno, był całkowicie we władzy niebezpiecznego uroku.

Jednak nie potrafiła na niego tak wpłynąć, aby zaniechał pracy, aby zaniedbywaniem zniszczył dzieło tak wspaniałe, jakie nigdy jeszcze nie istniało. Postanowiła wtedy zostać jego żoną, zamieszkać z nim w jednym domu, sądziła, że może wtedy uda się jej łatwiej dokonać dzieła zniszczenia; żyła teraz tą myślą; było to jej najgorętszym pragnieniem.

Powiedziała Karolowi, że jest w ciąży, a Karol postanowił ją poślubić, nagła jego śmierć przekreśliła te wszystkie plany.

Pierwszy raz w życiu Helena straciła pewność siebie, marzyła wprawdzie o tym, żeby zniszczyć moralną istotę Karola tak, aby zaniedbał swej gorliwości służenia ludziom, ale oprócz tego pragnienia, tkwiło w niej także, może nawet podświadomie, pragnienie odpoczynku, bo pomimo swego ciągle niezmieniającego się i zdrowego wyglądu, czuła się już nieco znużona życiem i chciała godnie zakończyć swój miłosny pochód, poślubiając takiego człowieka, jak Karol.

I gdyby nie ta śmierć bezlitosna!

Lecz jest przecież Andrzej, który po Karolu dziedziczy wszystko — majątek sławę i uwielbienie tłumu; Andrzej jest jeszcze tak młody, łatwiej go będzie usidlić, łatwiej podporządkować swoim wpływom.

MIŁOŚĆ

Już przeszło prawie pół roku odkąd Helena zamieszkała razem z Andrzejem. Z początku obecność jej była przykra dlań. Wcale nie reagował na to, że w jego domu, pod jednym dachem z nim przebywa stale kobieta, tak piękna kobieta.

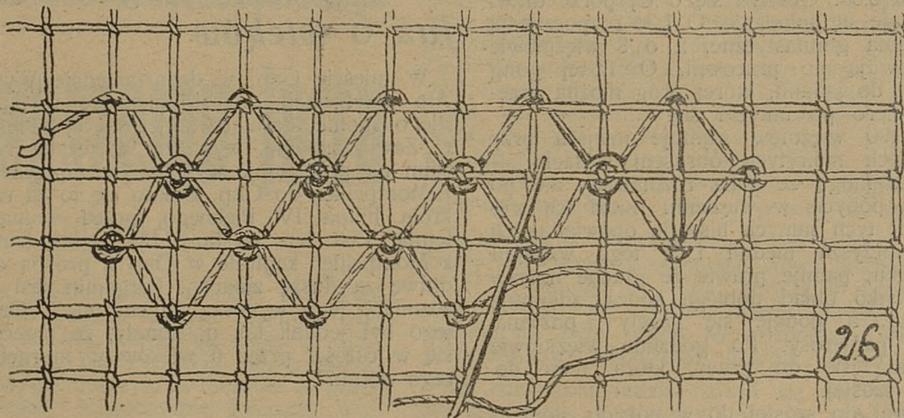
(Ciąg dalszy nastąpi)

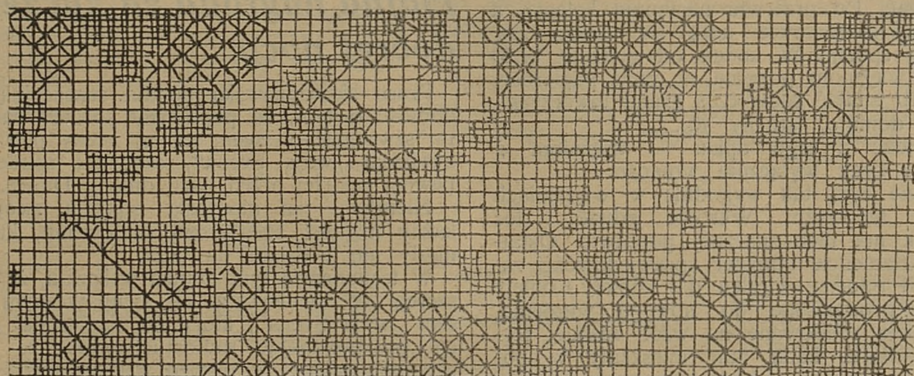
RAJ KOBIET

Kurs robót siatkowych

W dalszym ciągu naszego kursu pokazujemy ścieg zygzakowy, ryc. 26. Służy on do wypełniania tła lub różnych figur wzoru.

Zastosowanie jego widzimy na owalnym motywie, który może służyć bądź jako ozdoba cimy ściegiem chwytanym. Motyw taki ma 29 cm. długości i 14 cm. szerokości. Motyw przyszywa się po poprzednim namarszczeniu i wyprężeniu tkaniny na deseczce lub sztywnej tekturze. Po przyszyciu motywu pruje się zmarszczone brzegi i zakłada w obrączki dość szerokie, by przez nie przewlec można mosiężne drążki.





zazdrostek, obrusów, firanek, bądź jako serwetka na owalny stół. Odpowiednio do jego użycia wykonywamy go z cienkich nici, np. na motyw do zazdrostek z nici nr. 80 robimy oczka po 2 i pół w kwadracie i cerujemy odpowiednio cienką przędzą, ściegiem płóciennym, gęstym cerowaniem i zygzakiem. Brzeg umocnimy i obrzu-

Gdy wykonamy motyw na siatce z grubszej szarej nitki, o oczkach 6 mm w kwadracie, uzyskamy serwetkę wielkości 63 cm.

Prócz tego podajemy wzór na wstawkę z siatki, bardzo efektowny i oryginalny.

Zwracamy uwagę, że wzory siatkowe nadają się również na wyszywanie krzyżykami lub ściegiem płaskim. Nasz wzór prześlicznie wygląda wyszyty w kilku kolorach.

Chcąc cerować mniejsze motywy, wstawki lub koronki, możemy siatkę, zamiast wyprężać ją w krosienkach, nafastrygować na sztywną ceratkę, pczy czym jednak bardzo należy uważać ,by nie ściągać roboty.

W następnej części kursu podamy motywy i inne ozdoby do bielizny pościelowej.

K. Kulczycka.

HIGIENA i zdrowie

Łamliwość paznokci można usunąć

Gładkie, o bladoróżowym odcieniu paznokcie są ozdobą kobiecej rączki. Niestety o takim ideale bardzo wiele pań tylko może marzyć, gdyż matka natura niewszystkich jednakowo obdarza — należy więc tutaj naturze dopomóc, względnie uzpełnić braki przez nią spowodowane.

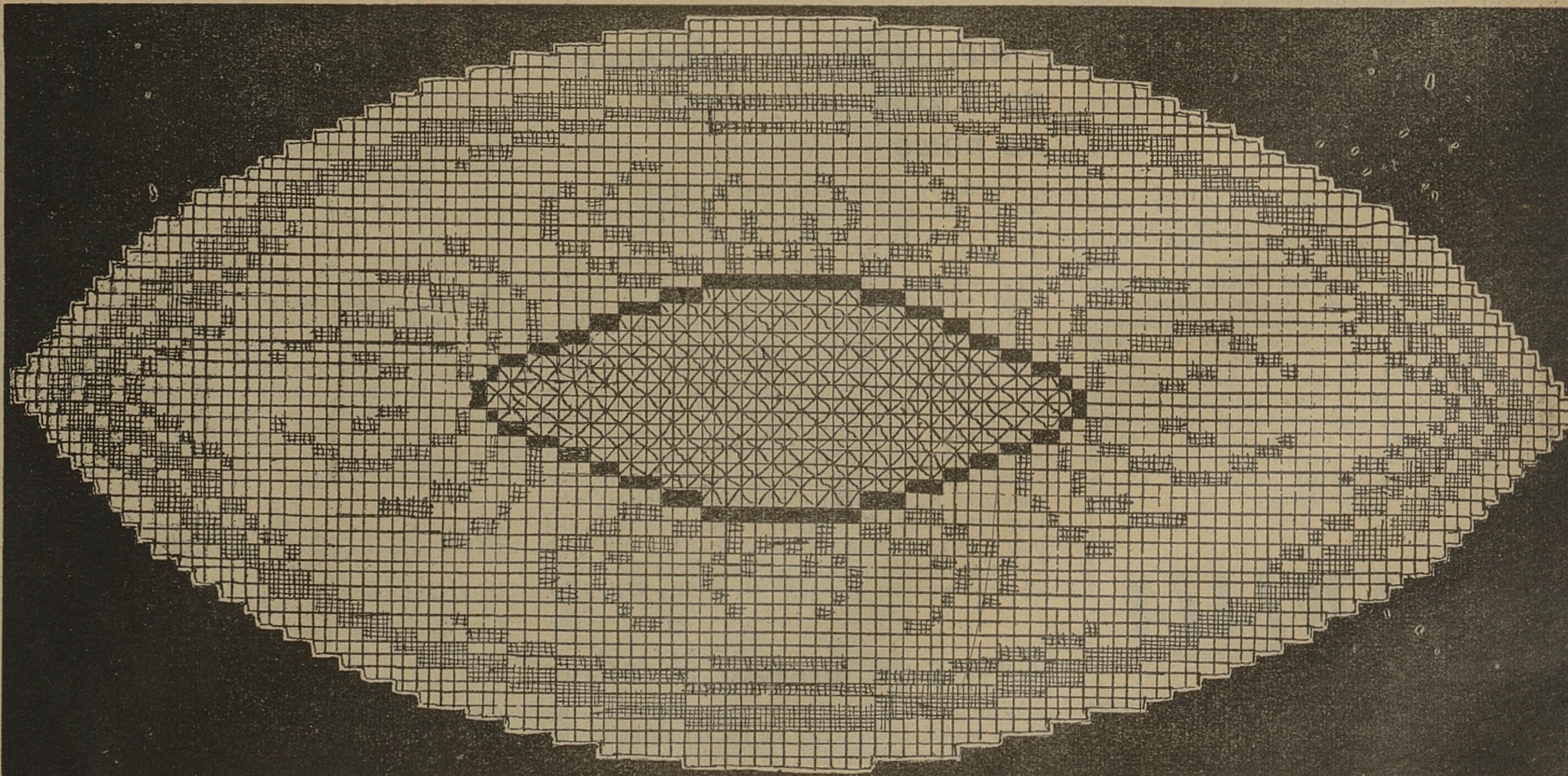
Często się zdarza, że taki szczegół, jak kruchość i łamliwość paznokci doprowadza do rozpaczy kobiety nawet najbardziej zrównoważone — zwłaszcza, o ile wszechwładna moda każe mieć paznokcie wąskie i długie.

Przyczyna łamliwości, kruchości i tak zwanego kwitnięcia paznokci tkwi w głębi naszego ustroju. Na łamliwość paznokci cierpią ludzie chorzy na płuca — brak bowiem wapna w organiźmie musi się również odbić i na paznokciach.

Przy chorobie Basedowa, paznokcie nie tylko są kruche, ale jakby prążkowane i usiane dołeczkami. U ludzi młodych często się zdarza kwitnięcie paznokci, co świadczy o wyniszczeniu organizmu, bądź długotrwałą chorobą, bądź anemią.

U wszystkich ludzi w wymienionych wypadkach musimy przede wszystkim udać się do lekarza internisty, a w domu stosować nacieranie paznokci sokiem z cytryny i zlewanie na noc mieszanką woskową, przygotowaną w sposób następujący: dwie części wosku zwykłego, żółtego, jedną część miodu, jedną część oliwy stopić na wolnym ogniu. W stanie płynnym zlać do foremek gumowych, tak zwanych palcówek i powkładać na palce.

Również wskazane jest dość częste przepiłowywanie paznokci i polerowanie ich tj. tarcie miękką poduszeczką zamszową.



Wskazówki dla zdrowia

Trzymaj się prosto: piersi naprzód, ramiona do tyłu, głowa wzniesiona prosto, nogi wyprostowane w kolanach.

Odżywiaj się regularnie i w miarę. Przejedzenie się nie wzmacnia sił, ale powoduje ociężałość i choroby.

Jeżeli kaszlesz, zasłaniaj sobie usta chusteczką, albo przynajmniej ręką. Ręce często myj.

Gdy budzisz się z rana, nie pozostawaj dłużej w łóżku ani chwili, ale zrywaj się zaraz.

Otwieraj okna mieszkania, aby do niego wpłynęło jak najwięcej czystego powietrza. O ile możności, śpij przy otwartym oknie.

Używaj ruchu na otwartym powietrzu, aby pobudzić krew do szybszego krążenia i wyprostować pokurczone od siedzenia członki ciała.

Przy pisaniu siedź prosto i swobodnie, oddychaj regularnie i czuwaj, by nie ugniatać sobie piersi.

Gdy wpadnie coś do oka, nie trzyj niecierpliwie, lecz zaczekaj aż łza przepłynie do kąta oka, i zniesie tam obcy przedmiot, wówczas wyciągnie się go łatwo rożkiem chusteczki.

W uchu nie dłub nigdy ostrym przedmiotem. Nie krzycz nikomu do ucha. Sam unikaj wrzasków. Uszy myj często.

Śpiąc nie trzymaj głowy zbyt wysoko, nie używaj miękkich piernatów, nie nakrywaj się zbyt grubą kołdrą, ręce pozostawiaj na wierzchu.

Po wyjściu z ciepłego mieszkania, nie rozmawiaj na zimnym powietrzu i oddychaj przez nos, a nie przez usta.

Czytaj tylko przy dostatecznym oświetleniu, trzymając książkę w oddaleniu 30—40 cm.

ŚWIAT i ŻYCIE

Śpiączka w Senegalu wzmaga się

Śpiączka, która jest chorobą nagminną w wielu strefach Afryki, istnieje także w Senegalu, aczkolwiek objawia się tam z mniejszym natężeniem. Od kilku jednak miesięcy sanitarne władze Senegalu stwierdzają wzmożenie się tej strasznej choroby. W Seminarium Duchownym w Popanguine stwierdzono 3 wypadki śpiączki. Uległ jej także rektor Seminarium O. Esvan z Zgromadzenia Ducha św. Ofiary śpiączki przewozi się do Dakaru, gdzie wzorowo urządzony Instytut Pasteura już wielu ludzi uratował od śmierci.

Niezwykła odyssea ostatniego obrazu Rembrandta

Gdy Rembrandt umarł zniknął portret jego syna Tytusa. Działo się to w roku 1669. Przez blisko trzy wieki „syn Rembrandta" przechodził dziwne koleje, aż wreszcie odnaleziono go obecnie w Vannes, we Francji. Eksperci rozpoczęli dokładne badania, celem ustalenia peregrynacji obrazu. Okazało się, że w r. 1680 znajdował się on w galerii niejakiego Johana von Klin, szlachcica szwedzkiego. W r 1754 staje się własnością panny Klukowskiej na Pomorzu, przy czym wędruje do Bretanii do zbiorów kapitana Filipa de Keramel. W r. 1850 przechodzi na własność panny Mandelet, która wkrótce po tym poślubia właściciela przędzalni, Le Brut'a. Skutkiem skomplikowanej serii wypadków i cesyj „Tytus" znalazł się wreszcie w Vannes. Obecnie obraz ten nabyło muzeum narodowe w Amsterdamie.



W więzieniu można czasem odnaleźć swój talent

Maidstone, jedno z największych więzień w Anglii, zostało zreformowane. Więźniowie mogą palić papierosy, zarabiać pieniądze, grać w kricketa, czytać gazety i uczyć się obcych języków.

Niezbyt dawno opuścił więzienie L. Harris, podpalacz, który kilka lat przebył w Maidstone. W więzieniu do jego obowiązków należało, wystawianie sztuk teatralnych, w których grał najgłówniejsze role. Do takiego stanowiska nie dochodzi się jednak tak łatwo. Należy co najmniej w ciągu 6 miesięcy zachowywać się wzorowo, a dopiero później uzyskuje się tego rodzaju przywileje.

Leopold Harris opisuje stosunki i tryb życia w więzieniu, które przypomina raczej jakieś sanatorium, niż zakład karny.

Powszedni dzień w więzieniu rozpoczyna się o godzinie 6.50. Otwiera się o tej porze drzwi cel i podaje się śniadanie. O 7.30 rozpoczynają się ćwiczenia gimnastyczne, a o 8 więźniowie odmaszerowują do pracowni. O 12-tej gong wzywa ich do jadalni, której próg można przestąpić dopiero po umyciu się.

Około 100 więźniów zajmuje miejsca przy przy długich nakrytych obrusem stołach. — Więźniowie mogą ze sobą rozmawiać, ale po dwuletnim pobycie w więzieniu nudzi ich wysłuchiwanie tych samych historii, opowiadanych przez towarzysza niedoli i z tego względu przy posiłku, panuje prawie że głuche milczenie. Jak tylko obiad dobiega końca, zdejmuje się obrusy, a podaje się gazety i pozwala się palić papierosy. Po godzinie więźniowie znów udają się do pracy, która trwa do w pół do szóstej.

Od w pół do szóstej do w pół do siódmej jest przerwa, podczas, której więźniowie muszą odpoczywać. Po przerwie następuje kolacja, a po kolacji więźniowie uczą się, latem zaś uprawiają sport... W końcu od godziny 19.30 do 20,45 więźniom pozwala się palić papierosy, czytać, lub umilać sobie czas grami towarzyskimi, jak domino, szachy itp.

Jak widać z tego opisu — więźniom z Maidstone brak wyłącznie wolności.

Na razie żyją tak wygodnie w więzieniach wyłącznie mężczyźni. Wkrótce jednak i los więźniarek ma ulec znacznej poprawie. Ostatnio w parlamencie minister sprawiedliwości zapowiedział reformę więzień dla kobiet. Kobiety będą przeprowadzone do nowego więzienia, które będzie zbudowane na wzór wielkiej fermy. Więźniarki będą tam mieszkały w pojedyńczych domkach i będą zajmowały się pracą w ogrodzie lub na polu. Co pewien czas będzie się tam wyświetlało filmy i będzie się dbało o rozrywki, które będą swego rodzaju wynagrodzeniem za wzorowe zachowanie. Również i strój więzienny kobiet będzie zreformowany. Minister sprawiedliwości sądzi bowiem, że przez odpowiedni ubiór podniesie się samopoczucie więźniarek.

Dawne tradycje szlacheckie na Kaszubach odżyją na nowo

Popularny na terenie Gdyni i Wybrzeża dowódca Morskiej Obrony Narodowej płk. dypl. Sas-Hoszowski wystąpił z inicjatywą powołania do życia Związku Szlachty Kaszubskiej, którego celem byłoby wskrzeszenie dawnych tradycyj szlacheckich wśród Kaszubów.

Wielu mieszkańców Kaszub — to potomkowie dawnej szlachty zagrodowej, rycerskiej i zaściankowej ,która w ciągu wieków wielokrotnie wsławili się walecznością w bojach, docierając m. in. z królem Janem III pod Wiedeń.

Polityka germanizacyjna półtorawiecza niewoli, zatarła powierzchnie dawne tradycje szlacheckie Kaszubów. Stwierdzenie stanu szlacheckości Kaszubów nie napotka jednak na większe trudności. I tą sprawą zajmie się w swojej pracy Związek Szlachty Kaszubskiej, który poza Gdynią działać będzie poprzez Koła we wszystkich większych ośrodkach Kaszub i Wybrzeża.

Zatarg w mieście Windsor

W angielskim mieście Windsor rozgorzała na nowo walka, która toczy się już od siedmiu wieków. Maturzyści windsorscy bronią swoich przywilejów, przyznanych im przez króla Edwarda I, a polegających na tym, że wielkie pole sportowe znajduje się do ich wyłącznej dyspozycji.

Szereg razy już zarząd miejski starał się odebrać im ten plac, ale maturzyści bronili się zaciekle. Pierwszy raz było to za Henryka VIII który stanął w obronie młodzieży i nie pozwolił jej odebrać placu, podarowanego przez ojca. Za czasów królowej Wiktorii wzniesiono dookoła placu płot, ale młodzież systematycznie zrzucała ten płot w nocy. Dzisiaj chcą jej odebrać plac, aby powiększyć park samochodowy dla turystów. Opinia publiczna Anglii stanęła po stronie windsorskiej młodzieży...

Zwyczaj rozsyłania zawiadomień o zgonie ma już 6 wieków

W mieście Gap, w departamencie Wysokich Alp we Francji, odkryto pierwsze zawiadomienie o zgonie, datujące mniej więcej 1280—1300 r. Zawiadomienie, wypisane w języku romańskim na pergaminie wysłane było przez gońca z Montpellier do Gap. Działo się to za rządów króla Filipa IV Pięknego, przed wojną stuletnią. List ten wysłany był przez kanonika z Montpellier kapitule w Gap z prośbą o modlitwę za duszę zmarłej. Pergamin jest mały, rozmiary jego wynoszą 16 cm na 7. Gatunek jego był jednak tak doskonały, że przechował się w całości przez 6 wieków w murach starego domu.

Hojna nagroda za życzenia dobrej nocy

Prasa skandynawska podała sensacyjną wiadomość o tym, że popularny speaker radiofonu szwedzkiego, Sven Jering, znany pod przezwiskiem „wuja Svena", otrzymał spadek po pewnej zmarłej przed paru dniami Duńce.

Niemłoda już niewiasta zapisała swój pokaźny majątek speakerowi radiowemu, którego nigdy nie widziała na oczy.

W testamencie tym Dunka wskazała, że przez szereg lat zachwycała się sympatycznym głosem „wuja Svena", który po skończonej audycji przypominając radiosłuchaczom, że winni uziemnić anteny, w bardzo wzruszającej i miłej formie życzył im „dobrej nocy i spokojnego snu".

Dunka zapewniła, że dobry sen, jakim cieszyła się w ostatnich latach, ma w dużym stopniu do zawdzięczenia speakerowi radiowemu, którego życzenia dobrej nocy i spokojnego snu zawierały jakąś sugestywną moc.

Henlein wynalazł zegarek kieszonkowy

Nie wszyscy, nawet mieszkańcy Norymbergi wiedzą, iż w południowej części miasta znajduje się stara uliczka, nazwana imieniem Henleina. Oczywiście nie chodzi o Konrada Henleina, przywódcę Niemców sudeckich, ale o Piotra, który żył w mieście hitlerowskich zjazdów partyjnych w końcu 15-go wieku. Był to ślusarz, który interesował się mocno mechaniką precyzyjną i uważany i uważany za pierwszego konstruktora udoskonalonego, a przede wszystkim zmniejszonego zegarka. Dzieło jego dalekie było od zegarka kieszonkowego i rozmiarami przypominało raczej wielki budzik. Tenże Henlein skonstruował później zegarek, który wydzwaniał godziny. Zegarki, wykonane przez Henleina udoskonalono w 80 lat później i doprowadzono do formy dzisiejszych zegarków kieszonkowych.

Nie będzie kradzieży w hotelach

W jednym z hoteli angielskich dokonano pomyślnych prób z nowowynalezionym przyrządem, alarmującym szybko i dyskretnie policję w wypadku wejścia złodzieja do pokoju hotelowego. Dzięki temu, iż przyrząd jest wyjątkowo mały i prawie niespostrzegalny, umieszcza się go w bezpośredniej bliskości najcenniejszych przedmiotów.

Ile zarabiają najsłynniejsi bokserzy świata?

Amerykańskie pismo sportowe obliczyło, ile zarobili w ciągu swojej kariery najsłynniejsi bokserzy świata. Dla uproszczenia podamy te sumy w złotych. Rekord bije Gene Tunney, który zarobił 20 milionów złotych. Po nim idzie Babe Ruth (19 milionów). W kolejności idą: Jack Dempsey (12 milionów), Joe Louis (10 milionów), Jack Sharkey (6 milionów), Primo Carnera (4 miliony), Georges Carpentier i Paulino (po 3 miliony) i Jim Londos (2 i pół miliona). Są to jedynie honoraria bokserskie, nie licząc za występy w teatrze, kinie czy music-hallach. Aczkolwiek cyfry te imponują, dalekie są od astronomicznych sum, jakie zarobili na tych bokserach amerykańscy impresariowie.

Ku lepszemu jutru

NOWELA

Tego dnia Sieńka miał opuścić swą wieś rodzinną. Było jeszcze całkiem ciemno, gdy podniósł się ze snu, ciężki na ciele, ze zimnem we wnętrzu. Kiedy schylił się, wdziewając buty, coś go uderzyło w skronie a przed oczyma zaskakały różnobarwne gwiazdki. Wiedział co to znaczy — był głodny...

Już od kilku dni odżywiał się jeno ziemniakami. A chleb! Chleb! — najpiękniejsze, najmilsze słowo na świecie! Dźwięczny oto tak samo słodko, jak kłosy zboża lipcowego...

Sieńka, siedząc na skrzypiącej koi, postękiwał z cicha. Piekły go na piersiach schowane dwie setki — pieniądze za sprzedaną chałupę.

Tak, to, tak sprzedał ojcowiznę... żydowi sprzedał... — krążyły myśli. Ano, sprzedałem, chaty przecież nie ugryzę — wylatywało słowo twarde, zuchwałe. Na oknach wisiała czarna noc, a może przedświt nawet... Jesienią ranki wstają mgliste i ciemne, jak życie.

Sieńka zapalił lampkę, wiszącą na ścianie, tuż przy łóżku. Blade światełko mrugało leniwie, oświetlając skąpo część izby.

W pewnej chwili ogienek zachwiał się, mrugnął mocniej, po czym zaczął opadać raptownie. To tak samo, jak umierający człowiek — gore, gore, aż zniknie... Sieńka patrzył na gasnącą lampkę tępym, nic niemówiącym wzrokiem. Obstąpiły go widziadła niedawnych dni; niedawnych, choć rok temu poczętych.

Też był zimny ranek. Za oknami wiatr zawodził żałośnie... Pamięta cichy jęk matczyny, co po izbie, jak żywy chodził; pamięta słabnącą rękę starej kobieciny, która, nim zesztywniała, krzyż w powietrzu nakreśliła — ostatnie błogosławieństwo. Krzyknął: „nie odchodź, matko, nie odchodź"! Umarła jednak. Śmierć zrobiła z żywego człowieka nieczuły, niewrażliwy przedmiot. Gdyby gardło sobie nawet poderżnął, nie poruszyłaby się, choć go tak kochała! Jakie złe jest prawo natury! A Bóg? Czyż nie mógł zatrzymać tej swej Boskiej Woli, czyż nie mógł odwrócić?

Sieńka wlepił wzrok w brudną poduszynę, na której leżała spokojnie siwa głowa i w chude ręce złożone na krzyż. Na twarz starał się nie patrzeć, taki go ból przeraźliwy gnębił. Drętwiały mu z zimna bose nogi, przez plecy przepływały ciarki. A on stał ciągle przy łóżku, jak skamieniały. I oto nagle jego oczy suche, zastygłe rozpaczą dostrzegły u wezgłowia umarłej mały, wypłowiały obrazek Chrystusa. Sieńka aż oczy zmrużył od napływu dziwnego uczucia — lęku i pokory zarazem.

Zgiął kolana bezwiednie... A na ustach zadrżały mu dawno zapomniane słowa modlitwy, której się nauczył od matki, jeszcze w dzieciństwie. Długo się modlił. Kiedy powstał z klęczek, na ziemi dzień się rozpoczął. Wiatr październikowy skowyczał pośród drzew.

Na cmentarzu ludzie dziwili się Sieńce — był tak zimny i spokojny! Ale po pogrzebie, kiedy szedł po przemokłej od deszczu jesiennego ziemi, usłanej tysiącem listowia, kiedy wpadły mu w oczy stare pochylone krzyże cmentarne — nie wytrzymał. Załkał...

Głuchy szloch zbolałej duszy człowieczej złączył się ze skargą opadających liści i zbratanej z nim smętną nutę rozpruł zmierzch jesienny...

* * *

Sieńka nie przypuszczał nawet, że będzie mu żal wsi. Co mu ona dała, prócz nędzy i poniewierki? Ale widać smutek to ludzka rzecz, bo i jego za serce schwycił, ścisnął, jak kleszczami.

Gdy na końcu szerokiej ulicy, przy krzyżach uchylił czapki, żegnając się, zawirował w przestrzeni pola drobny śnieżyk... Pierwszy to był śnieg... Opadał bezszelestnie na dachy kryte słomą, na wierzby przydrożne, na brudną zmarzniętą ziemię. Przed nim wyraźnie czerniał tajemniczy poleski las. Zasnuwała go coraz bardziej mgła śniegowa. Ale przed oczyma młodego wieśniaka zapaliły się ogniki radosne — przebłyski wiary, że nie zbłądzi na tej nieznanej mu drodze przyszłości, lecz wytrwa i zwycięży. Wszak miał największy ludzki skarb: zdrowie i młodość!!

Helena Puerkhardowa.



Marynarka japońska oddaje hołd swej fladze z okazji pięćdziesięciolecia wprowadzenia jej.

Chwila zastanowienia

WIRÓWKA — KRZYŻYKÓWKA

uł. Ludwik Kiełpiński

1	I	2	II	3	III	4
5	IV	6	V	7	VI	8
9	VII	10	VIII	11	IX	12
13	X	14	XI	15	XII	16

Znaczenie wyrazów wirówki: 1. rodzaj kawy, 2. półwysep Europy, 3. część portu, 4. koc, 5. ciało lotne, 6. rzeka polska, 7. instytucja finansowa, 8. ptak, 9. uszkodzenie auta w podróży, 10. ang. miara długości, 11. legendarny lotnik, 12. in. powietrze, 13. wyprawa, wyścig samochodowy, 14. dopływ Wilii, 15. miękka skórka fon., 16. duża izba.

Znaczenie wyrazów krzyżówki: 1. Skrót instytucji wojsk., 2. Kanton szwajcarski, 3. góra z mitów greckich, 4. papuga, 5. okrycie, chusta w Albanii, 6. armeńskie miasto ruin, 7. dopływ Sawy, 8. rzeka we Francji, 9. duchy w Birmie, 10. zwierzę, 11. tytuł ang., 12. starogrecka nazwa Wołgi.

SZARADA

ułoż. Witold Mataczyński — Łysinin.

Pierwsza, trzecia — do rany ją przyłóż,
Albo „r" dodaj a będzie rzeka.
Druga, trzecia — to imię dziewczyny,
Albo też „luta" zima cię czeka.
Za całością — świat goni i goni,
A gdy dogoni — znowu roztrwoni!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 16 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 48 „Moich Powieści":

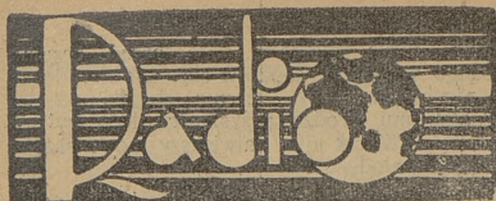
I. Rebus: Dobra rada nie ginie, ale do serca płynie.

II. Kwadrat magiczny:

K	a	p	a
a	t	a	k
p	a	k	i
a	k	i	p

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jarosz Zenon — Katowice, Kawecki Wincenty — Modzerowo, Michniewicz Jan — Toruń, Malinowska Zofia — Grudziądz, Januszewicz Maks — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Kaweckiemu z Modzerowa i Jaroszowi z Katowic.



Niedziela, dnia 11 grudnia 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Koła 11.00 „Z różnych stron" — koncert rozrywkowy 11.45 Audycje dla wsi w programach radiowych — omówi J. Płatek 12.03 Poranek symfoniczny ze Lwowa 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital fortepianowy Alex de Graef 17.20 „Podwieczorek przy mikrofonie" — z Łodzi 19.30 Fragmenty z oratorium „Święta Teresa od Dzieciątka Jezus" 21.20 Muzyka taneczna 21.45 „Jako żak babie do nieba posłował" — farsa 22.15 D. c. muzyki tanecznej.

Poniedziałek, dnia 12 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Walce Straussa w różnych interpretacjach 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 Audycja dla liceów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży: „S. O. S." 15.30 Muzyka obiadowa 16.35 Najpiękniejsze kwartety klasyków wiedeńskich 17.30 „Od Jordanu do Libanu" — felieton 17.50 „20 lat przemysłu elektrycznego" 18.00 Audycja dla wsi 19.00 Rozmaitości muzyczne — koncert rozrywkowy 21.00 Przemówienie Ministra Przemysłu i Handlu A. Romana 21.10 Koncert z okazji jubileuszu kompozytorskiego Z. Moczyńskiego 22.00 „Dzieje symfonii" — audycja słowno-muzyczna.

Wtorek, dnia 13 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 „Nasi ulubieńcy śpiewają" — płyty 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść mówiona 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Pieśni Corbeliusa — koncert wokalny 18.00 Utwory fletowe w wyk. Tomaszewskiego 17.35 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 Koncert solistów.

Środa, dnia 14 grudnia 19938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.20 Serenada na instrumentach solowych — płyty 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa 16.35 Sergiusz Taniejew: Trio D-Dur 17.00 „Od oddziałów ochotniczych do potężnej armii" — odczyt 17.15 „Damy w krynolinie śpiewają" — audycja muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.40 „Dyskutujmy": Zgubny czy dodatni wpływ kina na masy 19.00 Muzyka węgierska — koncert 21.00 Koncert chopinowski 21.30 „O tak zwanym spryciarstwie w literaturze" — dialog Goetla i Gałczyńskiego 22.00 Folklor różnych krajów — koncert.

Czwartek, dnia 15 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych 11.25 „W takcie trzy czwarte" — koncert 12.03 Audycja południowa 15.00 Psy na wojnie, w służbie policyjnej i sanitarnej — audycja dla młodzieży 15.15 Kłopoty i rady: „Bridge czy posiedzenie" 15.30 Muzyka obiadowa 16.20 „U inspektorki pracy" — audycja dla liceów 16.40 Recital fortepianowy H. Wereszeńskiej (Dania) 17.20 „Nasze pieśni" — H. Zbońska-Ruszkowska 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 „Życiorysy instrumentów" — pogadanka 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 „Książę Niezłomny" — słuchowisko 22.00 Muzyka kameralna 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 16 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 „Pieśni i piosenki" w wyk. Crooksa (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 „Hokus, pokus, dominicus" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Pieśni w wyk. Larissy Martinson 17.05 Pułkownik Stan. Becchi" — felieton 17.15 Recital klarnetowy J. Madei 18.00 Audycja dla wsi 18.30 „Sen nocy radiowej" — słuchowisko 19.00 Koncert rozrywkowy 20.00 Koncert z Filharmonii Warszawskiej: Chór Lipskiego Gewandhausu pod dyr. Abendrotha — „Requiem" Verdiego 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 17 grudnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla dzieci 11.25 Muzyka operetkowa 12.03 Audycja południowa 15.00 „Jak to sobie wyobrażasz" konkurs rysunkowy dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa 16.35 Recital wiolonczelowy Gabora Rejto 17.20 „Z pieśnią i tańcem przez C. O. P." 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 „Jutro znów niedziela" — koncert rozrywkowy 21.00 „Damy i huzary" — opera komiczna Kamieńskiego — transmisja z Poznania.



„NIEWIDZIALNA WŁADZA"

Nauczyciel do ucznia: — Jaka to jest owa niewidzialna władza, która nie daje złemu człowiekowi spać po nocach, tak, że ten rzuca się i ciężko wzdycha, wijąc się z bólu?

Chołpak myślał długo i nareszcie odrzekł:

— Pluskwa.

NA TARGU

— Zdaje mi się, pani kupcowo, że ta ryba trochę zepsuta?

— Cóż tu dziwnego, moja paniusiu, teraz cały świat taki zepsuty...

TCHÓRZE

— Moja droga, nie mam odwagi powiedzieć twemu ojcu, że jestem zupełnie zrujnowany.

— Jacy z was tchórze. Mój ojciec też ci się boi powiedzieć o swoim bankructwie...

W SZKOLE

Nauczyciel: — Powinieneś, Abrahamie, ubierać się nieco staranniej. Ile kołnierzyków wkładasz w ciągu tygodnia?

Abraham: — Pan nauczyciel zapewne chciał się zapytać, co ile tygodni zmieniam mój kołnierzyk?

NIECH SPRÓBUJE

Jakiś pan wbiega na peron zasapany i zwraca się do urzędnika kolejowego:

— Czy mogę jeszcze złapać pociąg do Krakowa, odchodzący o godz. 3-ciej?

— Jeżeli pan ma mocne nogi i jest szybki, to może pan spróbować, bo pociąg ten przed minutą odjechał ze stacji.

NA WYSTAWIE PSÓW

— Patrz na tego psa, tak obrósł, że niewiadomo, gdzie jest głowa, a gdzie ogon.

— Uszczypnij go, gdzie zaszczeka, tam będzie głowa.

PRAKTYKA

— Panie doktorze, dlaczego właściwie przełożył pan swe godziny przyjęć z drugiej godziny na szóstą?

— Ponieważ mój pacjent miał czas tylko o tej porze!

KŁOPOTY Z MAMĄ

— Wiesz, Franek, muszę schować przed matką moje papierosy — mówi 10-letni Józio do swego kolegi.

— Bije cię za papierosy?

— Nie, ale wypala mi je!

NIEZADOWOLONA POKOJÓWKA

Kucharka: — Dlaczego chcesz wymówić posadę, przecież tutaj ci dobrze.

Pokojówka: — Nie znoszę pani, jest fałszywa.

Kucharka: — Fałszywa, dlaczego?

Pokojówka: — Bo w oczy mówi co innego niż słyszę przez dziurkę od klucza.

WYJĄTKOWY WYPADEK

— Niech mi pan powie, czy pańska żona ma rzeczywiście zawsze ostatnie słowo?

— Tego nie mogę twierdzić. Czasami zasypia wcześniej ode mnie.

W ZOOLOGU

Zbysiu, nie zbliżaj się zbytnio do tych polarnych niedźwiedzi, bo się przeziębisz.

BYŁA PRZYCZYNA

— Co się właściwie stało z naszym balonem stratosferycznym?

— Pękł ze śmiechu, słysząc reportaże radiowe o sobie...

IDEALNA KOLEJ

— Posiadamy najbezpieczniejszą kolej na świecie. Zderzenie pociągów jest u nas wręcz niemożliwe.

— W jaki sposób osiągnęliście panowie ten rekord?

— Bo... mamy tylko jedną lokomotywę.

MA RACJĘ

— Teraz potrzeba Niemcom tylko kolonii pozaeuropejskich.

— Bo — w Europie już mają Czechosłowację.

NIE OBCHODZĄ GO!

— Człowieku nie pij — twoje nerki i tak sprawiają twemu lekarzowi dużo kłopotu...

— A co mnie obchodzą jego kłopoty!

ŻYWIOŁ

— Fredziu, wymień mi, jakie są na świecie żywioły?

— Woda, powietrze, ogień i wódka...

— Jakto wódka?

— No, bo mamusia mówi, że jak tatuś pije wódkę, to jest w swoim żywiole.

HUMOR PARYSKI

— Czy zechce mnie pan odprowadzić do domu, panie władza... Ale czy dowie się pan gdzie mieszkam?

— Hm... Hm..., A jak ma na imię pańska służąca?

— Frania... Taka gruba...

— W porządku...

DEFINICJA

— Kto to jest włóczęga?

— Włóczęga jest to człowiek, który gdyby miał pieniądze nazywałby się turystą.

SZCZERY

Kopytkiewiczowa zwraca się do męża:

— Powiedz mi szczerze: gdybyśmy się nie pobrali, kochałbyś mnie tak samo, jak teraz?

— O jeszcze więcej — odpowiada bez namysłu Kopytkiewicz.

DOBRA SŁUŻĄCA

Pani: — Ależ gdzie się podziały kanarki?

Służąca: — Gdy czyściłam ich klatkę, wpuściłam je tymczasem do klatki schodowej i gdzieś się zapodziały.

MEKSYK

Knajpa. Dwaj cowboy'e grają w pokera. Jeden pokazuje karty.

— Mam cztery asy!

— A ja rewolwer.

— Wygrałeś!

PRZED WALKĄ

— Tatusiu, dlaczego państwo młodzi podają sobie przed księdzem ręce?

— To tylko formalność, mój synu, podobnie jak bokserzy przed walką podają sobie dłonie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.